

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



Lekcja traktowania uchodźców

M3

Polska / M8

Lokalny brak pomysłunku

Samorządy wciąż marnują
miliardy złotych. Częściowo dlatego,
że rząd im na to pozwala
pisze Sebastian Stodolak

Świat / M12

UE poszukuje twardej siły

Legia Europejska – jeśli powstanie
– z pewnością nie będzie formacją decydującą
o bezpieczeństwie Starego Kontynentu
analiza Witolda Sokały

Ameryka / M14

Netflix dla stalkerów

W USA narasta fala protestów przeciwko
wszechobecnym kamerom do automatycznego
rozpoznawania pojazdów
relacja Emilii Świętochowskiej

Rosja / M20

Mankurci zabili Puszkiną

W optyce wielu Rosjan ludzie Zachodu są od pokoleń odpowiedzialni za wszystko, co złego spotkało ich kraj
esej Piotra Skwiecińskiego

Muzyka / M24

Gagarin miał śpiewać tenorem

To o nim, a nie o Karolu Szymanowskim miał usłyszeć świat. Mija 60 lat od śmierci Apolinarego Szeluty
pisze Tomasz Adamczyk



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Premier nie skorzysta i z tej rady

Jan **Wróbel**

Antoni Dudek zaapelował do premiera Tuska, by energicznie wziął się do czarnych owiec w Koalicji Obywatelskiej. I żeby podjął „nieco więcej zdrowych, rozsądnych działań”. Nie pierwszy to raz, kiedy profesor upomina premiera i wskazuje mu trafne działania. A gdybyśmy poszukali podobnych rad u innych komentatorów, zapewne z rozmaitych apeli, wezwań i przestróg dałoby się sporządzić pokaźną książkę: „Wiemy Lepiej. The Best Of”.

I komu to szkodzi takie radzenie? – można by trafnie zapytać. Otóż zupełnie nikomu. Miłe hobby, oparte co prawda na dziwnym przekonaniu, że premierzy, prezydenci i ministrowie czytają komentatorskie pouczenia i z energią krzyczą: „Jak ja mogłem na to nie wpasć!”. I z nie mniejszą – wprowadzać w życie wnioski tych, którzy wpadli i wspaniałomyślnie opisali.

Czy jednak, tak na poważnie, apelowanie może pomóc? Jeżeli założyć, że autorzy zbawiennych porad tylko udają, że autentycznie domagają się podejmowania przez polityków zadanych im prac, to nawet owszem. Weźmy wypowiedź prof. Dudka. Donald Tusk, jak ćwierkać wróble, ma publicystykę na swój temat w nosie. Ale liczni jego zwolennicy – już nie. Jest wśród nich wielu, których krew zalewa, kiedy widzą pisowski cy-

nizm działań i wypowiedzi premiera. Chcieliby, by było inaczej, lepiej, godniej. Słuchając i czytając Dudka (także oglądając – profesor z wdziękiem i wiedzą prowadzi bardzo udane podcasty), czują, jak schodzi z nich ciśnienie. Uff, wygarnął ktoś Tuskowi, i dobrze, bo ten już naprawdę przesadza!

A gdyby apel Dudka potraktować jako realne postawienie celu dla premiera? Otóż ten z rady nie skorzysta z prostego powodu. Władza polityka opiera się na dwóch nogach. Pierwsza to władza nad stanowiskami politycznymi i urzędniczymi. Druga to władza nad partią. I to ta druga jest ważniejsza. Przewodniczący KO może czasem pogrozić swojej partii. Jakies koło rozwiązać, jakiegos pewniaka wysadzić z siodła, a niepewniaka awansować. Rozpoczęcie wielkiej operacji szukania czarnych owiec zamiast do umocnienia (jak chyba chciałby Dudek) Tuska i samej KO prowadziłoby jednak do praktycznego paraliżu partii. Partii przyzwyczajonej od lat do zasady, że można jechać z zyskiem, ale po cichu.

Ten, kto sprowokuje do wzajemnego wyciągania na siebie kwitów i haków, będzie musiał budować partię od nowa. Cóż, znacznie mniej kosztowne jest przerażanie Kaczyńskim i Braunem – i to przynajmniej działa. ©



FOT. MAXIM SHEMETOV/REUTERS/FORUM

Wywiad / M10

Kreml nie uznaje utraty Polski

Żadne z państw naszego regionu pozostawione samo sobie nie jest w stanie poradzić sobie z Rosją – nawet Rosją osłabioną
mówi Katarzyna Zysk

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiec

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Plac:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-
Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)



Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.,
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykl, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpatności; ©© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wiczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biurowie Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.



Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

DGP Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

Lekcja traktowania uchodźców



RYŚ: PATRYK KOCH, FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3), KAROLINA WÓJCICKA (3), UNSPLASH (1), NAC (1), ZDJEĆIE DANUTY BORKOWSKIEJ/PRYWATNE ZBIORY TERESY BOYES

Valivade, niewielka miejscowość w południowo-zachodnich Indiach, w czasie II wojny światowej przyjęło tysiące polskich uchodźców jak swoich. Ich historię upamiętni powstające tam muzeum

Karolina

Wójcicka

korespondencja z Valivade

W hinduskiej świątyni Śri Ambabai w Kolhapurze podszedł do Teresy starszy mężczyzna. Przedstawił się jako wnuk człowieka, który w czasie II wojny światowej opiekował się polskimi dziećmi z pobliskiego obozu dla uchodźców we wsi Valivade. Kobieta słuchała go ze łzami w oczach. – To był moment, w którym poczułam bliskość

z moją mamą – mówi mi z wyraźnym brytyjskim akcentem.

Danuta Borkowska, mama Teresy, była jednym z ok. 5 tys. osób, które znalazły schronienie w odległym zakątku Półwyspu Indyjskiego. Mężczyzna wspominał, że w lokalne święta uchodźcze dzieci bawiły się na niewielkim placu przed Śri Ambabai. Wśród nich była zapewne jej matka. Teresa od lat próbuje odtworzyć jej historię i zrozumieć wojenne doświadczenia, do których Danuta niechętnie wracała. Opowieść mężczyzny była dla niej jak brakujący element układanki.

Przeprawa przez świat

Danuta pozostawiła po sobie zaledwie kilka stron notatek, często chaotycznie zapisanych na przypadkowych skrawkach papieru, np. podniszczonej instrukcji obsługi pralki. Gdy dotarła do Indii jako sześciolatka, miała już za sobą długą tułaczkę. Po wybuchu wojny została deportowana razem z rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa z Polesia na Syberię. – W swoich notatkach zapisała, że Polaków wsadzono do wagonów przeznaczonych do transportu zwierząt. W środku znajdowały się tyl-

ko drewniane ławki i piecyk, nie było toalety ani wody – opowiada Teresa.

Był to dopiero początek gehenny. „Każdego, kogo ze względu na wiek uznano za zdolnego do pracy, niezależnie od stanu zdrowia, zaraz po przyjeździe wysyłano do kopalni, na wyrąb lasów lub uprawy roli. Za cały dzień pracy dostawało się rację chleba, a raz w miesiącu trochę cukru i tłuszczu. Ci, którzy nie pracowali, nie otrzymywali nawet chleba” – czytamy w anglojęzycznych zapiskach Danuty. Surowy klimat, niedożywienie i brak opieki medycznej sprawiały, że śmiertelność była ogromna. ▷

Szansa na ucieczkę z sowieckiego piekła pojawiła się latem 1941 r., kiedy w Londynie doszło do podpisania układu Sikorski-Majski. W protokole dodatkowym Polakom więzionym i deportowanym do obozów w sowieckiej Rosji zagwarantowano amnestię. Umowa przewidywała też utworzenie polskiej armii w ZSRR, na czele której stanął gen. Władysław Anders. Wiosną i latem 1942 r. tysiące żołnierzy i cywilów, w tym wiele osieroconych dzieci ewakuowano z ZSRR. Kolejnym tysiącom Polaków nie udało się dotrzeć do punktów mobilizacyjnych. „Wielu, bardzo wielu zmarło po drodze” – czytamy. Wśród ofiar był m.in. ojciec Danuty, który zmarł na zapalenie płuc.

W trakcie przeprawy rodzina traciła kolejne osoby. Do Buchar w Uzbickiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej matka przybyła z czwórką dzieci. Jej najstarsza córka Helena zachorowała i trafiła do szpitala. Kobieta nie chciała jej opuszczać, więc postanowiła zostać przy niej, a troje zdrowych dzieci – w tym Danutę – wysłać do sierocińca, z którego później miały być ewakuowane do Iranu. Liczyła się z tym, że może już nigdy ich nie zobaczyć.

Teheran był pierwszym miejscem, które pozytywnie zapisało się w pamięci Danuty. Dzieciom zapewniono tam opiekę lekarską, umyto je, ubrano w czyste ubrania i nakarmiono. „Najwspanialsze było to, że mieliśmy wreszcie wystarczająco dużo jedzenia. Niektórzy jednak nie przeżyli, bo po tak długim okresie głodu nagłe spożycie obfitych, pożywnych posiłków okazało się zabójcze” – zapisała w jednej z notatek.

Z Iranu uchodźców wyekspediowano do zaprzyjaźnionych krajów, które zaoferowały im schronienie. Danuta wraz z dwójką rodzeństwa miała trafić do Ugandy, ale zachorowała na tyfus. W efekcie dzieci rozdzielono. „I tak oto jedyne cztery osoby, które przeżyły z naszej rodziny, znalazły się na trzech różnych kontynentach. Jak okrutne potrafi być życie!!!” – napisała wiele lat później Danuta. Gdy wyzdrowiała, dołączono ją do grupy dzieci jadących do Indii. Dotarła tam przebrana za chłopca, który zmarł tuż przed wyjazdem, dlatego zwolniło się miejsce.

Pestki mango i widmo Stalina

„Spędziłam tam pięć lat” – to jedyne zdanie o pobycie w Indiach, które Danuta zapisała w swoich notatkach. Również Teresie niewiele mówiła o tym okresie. Wspominała jedynie, że czuła się tam szczęśliwa i że z włochatych pestek mango dzieci robiły sobie laleczki. O tym, że pestki mango są często otoczone włóknistą osłonką, dowiedziała się podczas wizyty w Kolhapurze. Wyjazd zorganizowała przewodnicząca Polsko-Indyjskiej Grupy Parlamentarnej Kinga Gajewska. – Musiałam poznać tę historię, żeby poznać samą siebie – mówi Teresa, podsuwając mi artykuł naukowy na temat traumy międzypokoleniowej.

W Kolhapurze spotykamy się z maharadzą Yuvrajem Sambhajirajem Shahu Chhatrapatim, potomkiem rodziny kró-

lewskiej, która rządziła w mieście w czasie wojny i zaangażowała się w pomoc dla napływających uchodźców. – Mieszkańcy przyjęli ich nie jako uchodźców, lecz jak dalszą rodzinę, ludzi, dla których Kolhapur miał się stać drugim domem – przekonuje maharadza. I dodaje: „Nie kierowały nami żadne ukryte intencje. Był to zwykły odruch humanitarnej”. Rodzina królewska (mimo wprowadzenia systemu demokratycznego jej członkowie nadal posługują się tym określeniem) porównuje tę historię do solidarnościowego zrywu Polaków po wybuchu wojny w Ukrainie.

W Valivade, największym skupisku polskich uchodźców w Indiach, powstało miasteczko, które z czasem nazwano „Małą Polską”. Składało się ono z pięciu dzielnic, w każdej znajdowało się po ok. 30 budynków z 10 skromnymi mieszkaniami – dwa pokoje z kuchnią. Mieszkańcy zbudowali też kościół św. Andrzeja Boboli, szkoły, szpital, boisko sportowe, teatr, kino i baseny.

„Można rzec, że Osiedle Polskie w Valivade było dobrze funkcjonującym miasteczkiem polskim na ziemi indyjskiej” – napisała Anna Płonka, historyczka z Instytutu Pamięci

Narodowej. To w dużej mierze dzięki jej badaniom wiemy, jak wyglądało życie w „Małej Polsce”. Władzę administracyjną w Valivade sprawował starosta kpt. Władysław Jagiełłowicz. Starostwo obejmowało m.in. kancelarię ogólną, referat gospodarczo-finansowy, referat kulturalno-oświatowy i straż pożarną. Odpowiednikiem rady gminy był komitet uchodźczy. „Każda ze wspomnianych komórek dbała o realizację zapisów statutu – od zapewnienia edukacji, przez utrzymanie porządku, kończąc na zorganizowaniu godziwych rozrywek kulturalnych” – czytamy w pracy „Mała Polska w Indiach – życie codzienne polskich uchodźców ze Związku Sowieckiego na Półwyspie Indyjskim”.

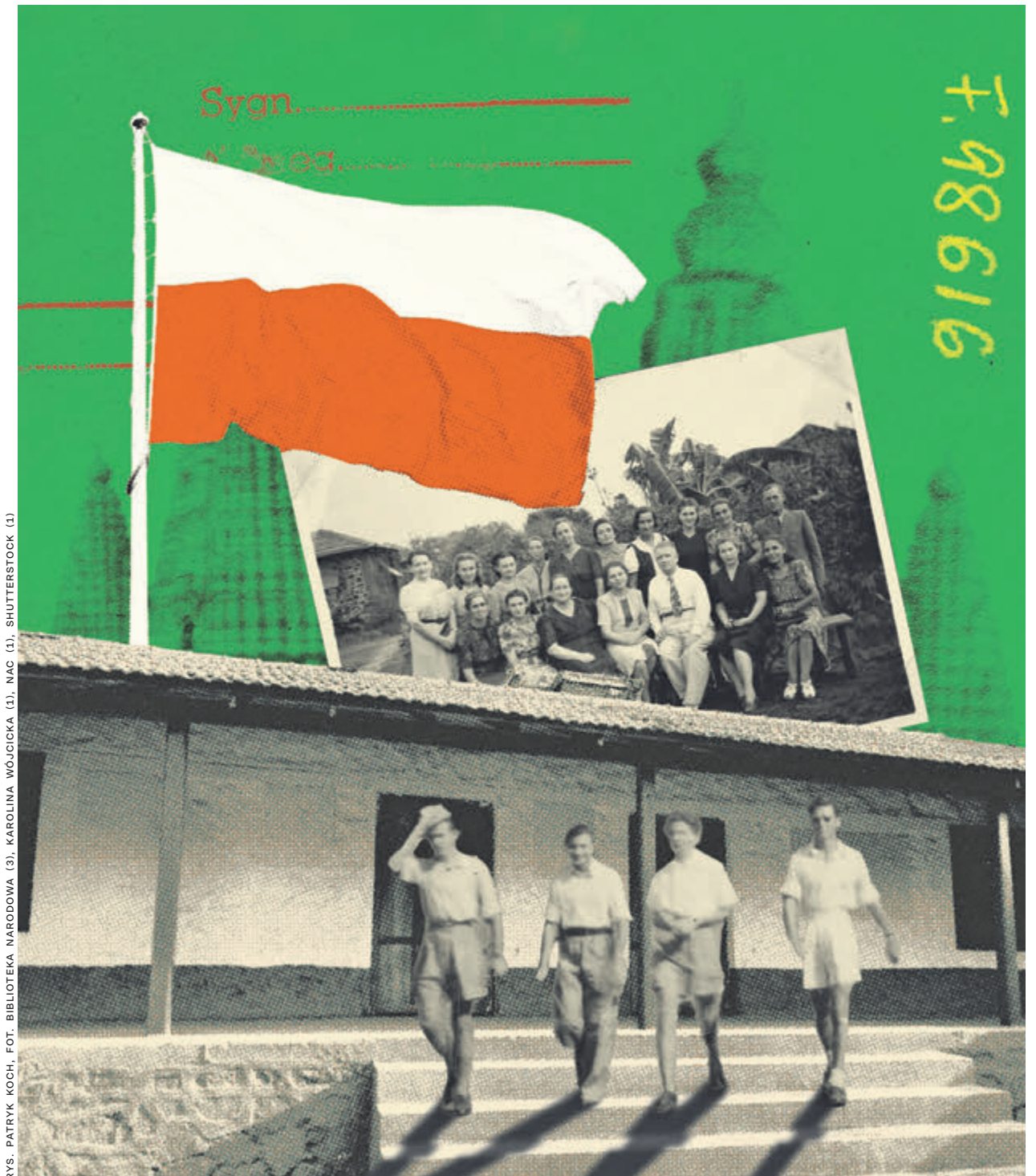
Na osiedlu pielęgnowano polskie tradycje i zwyczaje: organizowano obchody świąt narodowych, ubierano choinki i wspólnie śpiewano kolędy. Działało tam także harcerstwo. Praktyczne umiejętności można było zdobyć w Spółdzielni Pracy „Zgoda”, w której funkcjonowały m.in. pracownia lalkarska i robót ręcznych, warsztat krawiecki, zakład ślusarsko-mechaniczny, cukiernia i zakład szewski.

Teresa, z zawodu nauczycielka, podkreśla, że nawet najlepsze warunki nie mogłyby przygotować uchodźców do powrotu do normalnego życia po wojnie. Jej mama zawsze bardzo się denerwowała, gdy coś szło nie tak. Najsilniejsze emocje wywoływał w niej widok Józefa Stalina na ekranie telewizora. – I nigdy nie wyrzucała jedzenia. Mimo że była dość tęga, wołała sama wszystko dojeść, byle niczego nie zmarnować – wspomina.

Muzeum Człowieczeństwa

Danuta, podobnie jak większość polskich uchodźców, spędziła w Indiach kilka lat. Jej brat zaciągnął się w Ugandzie do wojska, a stamtąd trafił do Wielkiej Brytanii. Siostrę odnalazł za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Danuta dołączyła do niego w Anglii, gdzie wyszła za mąż i urodziła dzieci, w tym Teresę (wojnę przeżyły też mama i siostra Danuty, obie wróciły do Polski).

Ostatni Polacy opuścili Valivade w 1948 r. i rozjechali się po całym świe-



RYS. PATRYK KOCH, FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3), KAROLINA WÓJCIKA (1), NAC (1), SHUTTERSTOCK (1)

HISTORIA

cie. Tylko nieliczni zostali w Indiach. Od mieszkańców Kolhapuru usłyszałam, że na osiedlu doszło do zawarcia sześciu polsko-indyjskich związków małżeńskich. Do dziś mieszka tam potomek jednego z nich, Umesz. Jego matka była Polką, ojciec Indusem. Spotkałam go na kolhapurskim cmentarzu, gdzie pochowano wielu uchodźców. Umesz nie mówi po polsku, ale pamięta, że matka kultywowała rodzime tradycje.

Na zorganizowanych przez maharadżę uroczystościach poznałam też Apekszę, tancerkę, której babcia wychowała się w Valivade (stąd nazywa się ją wnuczką Polski). Apeksza wychowała się i mieszka w Indiach, ale stara się pielęgnować związki z Polską: regularnie przyjeżdża do nas na występy i przy okazji przypomina historię uchodźców.

Po wyjeździe Polaków na osiedle wprowadzili się przesiedleńcy wewnętrzni. Był to czas politycznych i społecznych turbulencji w europejskich koloniach na całym świecie. W 1947 r. Indie Brytyjskie rozpadły się na dwa niepodległe państwa: Indie i Pakistan. – Karaczi było wcześniej stolicą prowincji Sindh, mieszkało tam wielu hinduistów i muzułmanów. Po podziale Pakistan stał się państwem muzułmańskim, a hindusi musieli wyjechać. Mieszkańcy Kolhapuru doszli do wniosku, że skoro Polacy wyjeżdżają, ich mieszkania można przekazać innym – opowiada mi Sa-

Danuta spędziła w Indiach kilka lat. Jej brat zaciągnął się w Ugandzie do wojska, a stamtąd trafił do Wielkiej Brytanii. Siostrę odnalazł za pośrednictwem Czerwonego Krzyża

nyogeetaraje Chhatrapati, żona maharadży.

Spacerując dziś po Valivade, nie znajdziemy prawie żadnych polskich śladów. Kościół, szkoła i budynki, w których mieszkali uchodźcy, zostały zburzone. Wkrótce ma się to zmienić. Na terenie, na którym znajdowało się osiedle, rodzina maharadży buduje obecnie muzeum Małej Polski. Otwarcie planowane jest na jesień, choć pomysłodawcy zastrzegają, że termin może się przesunąć.

Pomysł stworzenia takiej instytucji zrodził się dekadę temu. W 2016 r. prezydent nominował maharadżę do Rajya Sabha, wyższej izby parlamentu. W New Delhi Yuvraj Sambhajiraje Chhatrapati poznał Adama Burakowskiego, ówczesnego ambasadora RP w Indiach. – Oczywiście znałem historię polskich uchodźców. Wiedziałem, że Polacy przyjeżdżają do Kolhapuru, odwiedzają pałac, miejsce pamięci i cmentarz. Ale to Burakowski nadał tej sprawie oficjalny charakter. Powiedział, że nasze rządy powinny wykorzystać ten most kulturowy i zrobić coś wspólnie. Był to w końcu największy polski

obóz uchodźczy na świecie – opowiada mi maharadża.

We wrześniu 2019 r. przy okazji wizyty polskich uchodźców w Valivade odbyła się ceremonia wmurowania kamienia węgielnego pod przyszłe muzeum. Miało ono powstać w miejscu baraku nr 141, jedyne, którego pozostałości odnaleziono. Jednak z powodu pandemii koronawirusa projekt stracił impet. Na domiar złego latem 2021 r. w stanie Maharasztra, w którym leży Kolhapur, doszło do rozległej powodzi, w której zginęło ok. 250 osób, a straty oszacowano na 539 mln dol.

Po kilku latach temat wrócił. – Było dużo gadania o niczym, więc powiedziałam mężowi, żeby w końcu zabrali się poważnie do roboty – wspomina Sanyogeetaraje Chhatrapati. Przyznaje, że lubi rządzić (choć jest przy tym ciepła i radosna).

Rodzina zatrudniła znaną architektkę z Nowego Delhi Shikhę Jain, specjalizującą się w konserwacji zabytków, m.in. obiektów wpisanych na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, oraz projektowaniu muzeów. – Zastosujemy tradycyjne materiały,

takie jak kamienne elementy czy dawne dachówki. Również wystrój zostanie odtworzony możliwie wiernie, aby całość jak najlepiej oddawała historyczny charakter tego miejsca – tłumaczy architektka.

W jednej z sal muzeum powstanie rekonstruowany na podstawie archiwalnych zdjęć moduł mieszkalny polskiej rodziny. W środku będzie też kilka galerii wystawowych, w tym jedna poświęcona historii II wojny światowej, a kolejna życiu Polaków w miasteczku.

Część eksponatów zebrała i przewiozła z Polski Kinga Gajewska. Dzięki temu w Valivade będzie można zobaczyć m.in. tradycyjny kostium zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”, stroje harcerskie, fotografie i pamiątki należące do uchodźców. Teresa przekazała świadectwo swojej mamy ze szkoły w Valivade, haft i różaniec. – Robię to dla rodziców. Nie chciałam, żeby te pamiątki przepadły – mówi Teresa. Muzeum będzie miało dla niej szczególne znaczenie osobiste.

Sanyogeetaraje Chhatrapati opowiada, że gdy zapytała raz grupę dzieci, jaki morał płynie z historii Polaków w Indiach, nie wiedziały, co odpowiedzieć. Gdy sama zaczęła się nad tym głębiej zastanawiać, doszła do wniosku, że powinna to być lekcja tego, jak traktować uchodźców. – Widzę, co się dzieje na świecie, że uchodźcy są traktowani coraz gorzej, także w Polsce – zauważa. Dlatego placówkę nazwano Muzeum Człowieczeństwa. ➤

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Polska technologia jedzie tam, gdzie medycyna nie może dotrzeć. Historia europejskiego sukcesu Eurodiagnostic

Kiedy w 2007 roku powstawał Eurodiagnostic, największym wyzwaniem polskiej diagnostyki obrazowej był brak dostępu do nowoczesnego sprzętu. Dziś polska firma wspiera szpitale w całej Europie, pokazując, że mobilna technologia może zwiększać dostępność i bezpieczeństwo ochrony zdrowia. O rozwoju Eurodiagnostic opowiada prof. Magdalena Woźniak, Prezes Eurodiagnostic sp. z o.o.



Mobilny tomograf komputerowy

Od odpowiedzi na lokalny problem do europejskiego partnera

Blisko 20 lat temu rezonans magnetyczny był technologią drogą i trudno dostępną, szczególnie poza dużymi miastami. Firma stworzyła model mobilnej diagnostyki, dzięki któremu specjalistyczny sprzęt mógł docierać do szpitali pozbawionych takiej możliwości. „Gdy zaczęliśmy w 2007 roku, największym problemem polskiej diagnostyki obrazowej był brak sprzętu. Nasz model biznesowy opierał się na mobilnym rezonansie magnetycznym, który zapewniał dostęp do diagnostyki tam, gdzie wcześniej jej brakowało” mówi prof. Magdalena Woźniak. Przez pierwsze lata firma realizowała model, w którym

mobilny rezonans wraz z wykwalifikowanym personelem medycznym przemieszczał się pomiędzy szpitalami. Wraz z rozwojem rynku sytuacja zaczęła się zmieniać. Aparatura diagnostyczna stała się bardziej dostępna, dlatego Eurodiagnostic dostosował swoją strategię. Firma zaczęła specjalizować się w czasowym udostępnianiu mobilnych pracowni rezonansu magnetycznego i tomografii komputerowej szpitalom, które potrzebują wsparcia podczas remontów, awarii czy reorganizacji pracy.

Mobilna diagnostyka gwarancją ciągłości działania szpitali

Dziś mobilne pracownie Eurodiagnostic pozwalają placówkom medycznym utrzymać ciągłość diagnostyki bez ograniczania świadczeń lub przewożenia pacjentów do innych szpitali. „Naszym zadaniem jest zapewnienie ciągłości działania szpitali. Pacjent powinien otrzymać diagnostykę w standardzie takim samym jak w pracowni stacjonarnej” podkreśla prof. Magdalena Woźniak. Mobilne pracownie wyposażone są w urządzenia odpowiadające standardom stosowanym w tradycyjnych placówkach. Sprzęt jest integrowany z systemami szpitalnymi, dzięki czemu personel



Wnętrze mobilnego tomografu komputerowego

może pracować zgodnie z obowiązującymi procedurami, a wyniki badań trafiają do infrastruktury placówki. „Staramy się zawsze dotrzeć do klienta i jego potrzeb, zrozumieć te potrzeby i rozwiązać jego problem. Nigdy nie mówimy, że czegoś się nie da zrobić. Każdego klienta traktujemy indywidualnie.” mówi prof. Magdalena Woźniak.

Polskie know how zdobywa europejski rynek i wyznacza kierunki rozwoju diagnostyki

Doświadczenie zdobyte w Polsce pozwoliło Eurodiagnostic rozwinąć działalność na rynkach zagranicznych. Firma realizuje projekty w 15 krajach Europy, dostosowując rozwiązania do lokalnych wymagań. Przez lata jednym z wyzwań były wątpliwości rynku, czy mobilne rozwiązania mogą oferować najwyższy poziom jakości i bezpieczeństwa. Przełomem, który zmienił nastawienie był pandemia, gdy mobilne rozwiązania stały się powszechne. Dziś mobilna diagnostyka jest postrzegana jako elastyczne narzędzie

wspierające funkcjonowanie nowoczesnych systemów ochrony zdrowia. „Mobilne pracownie są rozwiązaniem czasowym i chociaż może nie optymalnym logistycznie, zapewniają diagnostykę wysokiej jakości. Możemy zapewnić taki sam standard diagnostyki jak w pracowni stacjonarnej, a jednocześnie dotrzeć bliżej pacjenta” mówi prof. Magdalena Woźniak. Dziś Eurodiagnostic jest rozpoznawalnym europejskim partnerem i konkuruje z podmiotami z krajów, które wcześniej miały większe doświadczenie w tym obszarze. „Jesteśmy obecni w całej Europie i jesteśmy bardzo ważnym oraz liczącym się graczem na rynku diagnostyki mobilnej. Mimo że na początku mieliśmy mniejsze możliwości niż firmy z innych krajów, dziś konkurujemy z nimi na równi” podkreśla Prezes Eurodiagnostic. Przyszłość mobilnej diagnostyki może być związana z rozwojem programów profilaktycznych i badań przesiewowych. Eurodiagnostic uczestniczył m.in. w programie badań przesiewowych w kierunku raka płuca SOLACE, pokazując, że mobilne technologie mogą skuteczniej docierać do mieszkańców mniejszych miejscowości. Historia Eurodiagnostic pokazuje, że innowacja w ochronie zdrowia to nie tylko nowoczesny sprzęt, ale także nowe modele organizacji systemu. Polska firma udowodniła, że rozwiązanie stworzone jako odpowiedź na lokalny problem może stać się technologią wykorzystywaną na europejską skalę.

Aneta Żych

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>

Polityka też się liczy

Mieszkańcy Kolhapuru początkowo obawiali się obcych przybyszów, ale z czasem nawiązali z nimi przyjazne relacje. – Musimy pamiętać, że byliśmy wtedy pod panowaniem kolonialnym. Wszelkobecna propaganda przedstawiała białych jako złych ludzi, którzy nas wykorzystują – podkreśla Raj Nimbalkar, osobisty adiutant maharadzy.

Według badań historyka Roberta C. Allena ubóstwo w Indiach wzrosło z 23 proc. w 1810 r. do ponad 50 proc. w połowie XX w. W okresie kolonialnym realne płace malały, a klęski głodu stawały się coraz częstsze i bardziej śmiertelne. Eksperci twierdzą, że najbardziej katastrofalny dla kraju był okres od 1880 do 1920 r., na który przypada szczyt potęgi brytyjskiego imperium. Spisy ludności prowadzone przez administrację kolonialną pokazują, że wskaźniki śmiertelności wyraźnie wzrosły: z 37,2 zgonów na 1 tys. mieszkańców w latach 80. XIX w. do 44,2 w 1910 r. Średnia długość życia spadła z 26,7 do niespełna 22 lat.

Raj twierdzi, że historia zatoczyła koło: wojna wróciła do Europy, a Indie są skonfliktowane z sąsiadami. Dlatego moi rozmówcy zgodnie przekonują, że instytucja taka jak muzeum upamiętniające polskich uchodźców jest dziś tak bardzo potrzebna. Indusi chcą, żeby nie było to jedynie miejsce pamięci. Planują organizować szkoły letnie, seminaria i wyjazdy edukacyjne. To mogłoby ożywić Valivade, które leży z dala od głównych atrakcji turystycznych w regionie znanym głównie z fabryk odzieżowych. Rodzina królewska twierdzi, że prowadzi rozmowy z Uniwersytetem Jagiellońskim i Akademią Finansów i Biznesu Vistula w Warszawie, licząc, że uda się wspólnie stworzyć programy edukacyjne.

Za kulisami można też usłyszeć, że cele strony indyjskiej nie ograniczają się do szerzenia idei humanitaryzmu i pogłębiania relacji z Polską, postrzeganej przez tamtejszy biznes jako brama do Europy. W grę wchodzi również polityka. Devendra Fadnavis, obecny szef rządu Maharasztry, jest wymieniany wśród kandydatów na następcę Narendry Modiego, który przeszedł podobną ścieżkę polityczną. Stanowisko Fadnavisa chciałby zaś przejąć maharadża, związany z Indyjskim Kongresem Narodowym, partią Mahatmy Gandhiego. Otwarcie muzeum w obecności przedstawicieli polskich władz byłoby dla niego politycznym sukcesem.

Na świecie jest tylko kilka muzeów poświęconych naszej historii, m.in. w szwajcarskim Rapperswilu, Chicago i Londynie. To w Kolhapurze będzie pierwszą tego typu instytucją poza Zachodem. Takie inicjatywy kulturalne mogą być cenne w kontekście relacji międzynarodowych. Indie są dziś drugim po Chinach największym nabywcą rosyjskiej ropy naftowej. Po wybuchu wojny w Ukrainie Narendra Modi odwiedził Moskwę, a przed Władimirem Putinem rozwinął czerwony dywan, gdy ten przyleciał w grudniu do New Delhi.

Dla Teresy najważniejsze jest to, że spełni się życzenie jej matki: by nie zapomniano o tym, co się wydarzyło. ©

Kraj

Wzrost dzięki KPO zostanie z nami na dłużej?

Koalicja rządząca nie ma na koncie wielkiego projektu, którym mogłaby się chwalić. Polityczno-gospodarczym kołem ratunkowym stała się dla niej realizacja KPO

Piotr

Wójcik

W połowie sierpnia Komisja Europejska przyjęła piąty wniosek Polski o wypłatę środków z Krajowego Planu Odbudowy (KPO). Złożony miesiąc wcześniej dokument opiewał na kwotę niemal 8 mld euro. Warunkiem otrzymania pieniędzy było wprowadzenie zmian legislacyjnych, które dotyczyły m.in. energetyki (jednolite zasady przyłączania do sieci i obowiązek informowania o dostępnych mocach). W kwietniu tego roku weszła również w życie ustawa o działalności kosmicznej, która umożliwia uruchomienie systemu zezwoleń na prowadzenie misji kosmicznych przez podmioty prywatne i ustanawia nad nimi nadzór preesa Polskiej Agencji Kosmicznej. Poza tym zatwierdzone przez KE środki będą refinansować zakończone już programy. Mowa o „Laptopie dla nauczycieli”, w ramach którego kupiono 2,5 tys. komputerów – projekt zakończono w grudniu 2025 r. Kraków, Poznań i Wrocław zakupiły także niemal 90 składów tramwajowych w ramach rozwoju transportu publicznego. Transza warta ok. 33 mld zł zostanie wypłacona Polsce prawdopodobnie w październiku.



FOT. MAREK LASZYK/REPORTER

Prymusi i leserzy

Z unijnego Instrumentu na rzecz Odbudowy i Zwiększania Odporności (RRF) dla Polski przewidziano niespełna 55 mld euro. Włącznie z zatwierdzonym w sierpniu wnioskiem Warszawa otrzymała 42 mld euro, czyli ponad trzy czwarte (dokładnie 76 proc.). To zaskakująco dobry wynik, zważywszy na to, że Polska rozpoczęła formalną realizację programu z dwuletnim poślizgiem. Według danych KE wszystkie państwa członkowskie z łącznej puli 577 mld euro pobrały dotychczas 440 mld, więc średni poziom absorpcji idealnie pokrywa się z wynikiem Polski. Dane te obejmują jednak wyłącznie środki już wypłacone. W takim ujęciu Warszawa wykorzystwała niespełna dwie trzecie (62 proc.). Poza tym trzeba pamiętać, że część krajów członkowskich zaniża średnią. Przykładowo Węgrom zatwierdzono dotychczas niespełna 1 mld euro, co stanowi 9 proc. ich puli. Szwecji przysługuje 3,4 mld euro dotacji, jednak do tej pory wykorzystwała

jedynie 1,65 mld, czyli mniej niż połowę. Ponad połowa pieniędzy popłynęła do Holandii (3,1 mld z przyznanych 5,5 mld euro). Najwięksi beneficjenci są jednak znacznie dalej z realizacją programu. Włochom zatwierdzono już 85 proc. przewidzianych kwot, a Francuzom ok. 80 proc.

Przyczyny niewykorzystania pełnej puli pieniędzy bywają różne. Węgry pod koniec rządów Orbána w ogóle nie mogli wydatkować środków unijnych, nawet tych z Funduszu Spójności. Ich odblokowanie było jedną z głównych obietnic partii Tisza, która w tym roku odebrała Fideszowi władzę. Z RRF Budapeszt wciąż otrzymał tylko prefinansowanie na łączną kwotę 919 mln euro, z czego jednak ponad 85 proc. UE zapobiegliwie przekazała w formie pożyczek. Z takiej formy w ogóle zrezygnowały m.in. Szwecja, Holandia i Francja, które nie potrzebują szczególnie dofinansowania z Brukseli, więc nie pała się też do wdrażania oczekiwanych przez nią zmian.

Podobny trik jak w stosunku do Węgier, Bruksela zastosowała również do Polski. W grudniu 2023 r., po przejęciu z rąk PiS władzy przez obecną koalicję, KE wypłaciła Warszawie ponad 5 mld euro prefinansowania. Aż 4,5 mld euro, czyli 90 proc., stanowiły jednak pożyczki. Według oficjalnych danych komisji większość wypłaconych Polsce środków z RRF nadal stanowią właśnie kredyty (19,7 mld euro wobec 14,4 mld euro dotacji). Samą część dotacyjną wykorzystujemy w ponad połowie. Rząd planuje jednak wydać te pieniądze do ostatniej złotówki.

Nabory zostały uruchomione na niemal 100 proc. kwoty, a już podpisane umowy opiewają na prawie 90 proc. W przyszłym roku rozdysponowane zostanie ostatnie 30 mld zł, chociaż teoretycznie całość KPO powinna zostać rozliczona do końca 2026 r. Wszystkie zmiany legislacyjne należy wdrożyć do końca sierpnia, a ostatnie wnioski o płatność złożyć do końca września. Rząd zamierza jednak wykorzystać swoje dobre stosunki z Brukselą i przekonać ją do uznania projektów kończących się w 2027 r. za zrealizowane. Według minister Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz KE zgodzi się na przedłużenie wydatkowania RRF o I kw. 2027 r. W tym celu w ramach Banku Gospodarstwa Krajowego (BGK) powstanie Fundusz Bezpieczeństwa i Obronności, do którego trafi ponad 7 mld euro z przeznaczeniem na inwestycje zbrojeniowe i pokrewne. Samo przelanie tych środków na odpowiedni rachunek BGK Bruksela ma uznać za sposób realizacji kamienia milowego.

Inwestycyjny booster

Paradoksalnie, dwuletnie opóźnienie w realizacji KPO okazało się dla nas całkiem korzystne, gdyż wypłaty zaczęły nadchodzić w okresie spowolnienia gospodarczego w Europie. Dzięki temu Polska utrzymała solidny wzrost gospodarczy, co nie udało się wielu państwom członkowskim. Na początku 2024 r. Polski Instytut Ekonomicz-

ny szacował, że w okresie 2024-2026 fundusze z RRF poprawią wzrost PKB kraju łącznie o 2 pkt proc. Najwięcej (1,2 pkt proc.) w 2025 r., dzięki czemu miał on sięgnąć niemal 4 proc. PKB. Pieniądze z KPO miały w tym roku odpowiadać aż za połowę wydatków inwestycyjnych nad Wisłą. Finalnie wzrost w 2025 r. wyniósł 3,6 proc., czyli KPO mogło odpowiadać za około jedną trzecią. Gospodarka całej UE powiększyła się o 1,4 proc., więc wynik Polski był dwa i pół razy lepszy. Już w 2024 r. był niemal trzy razy lepszy (3,2 proc. względem 1,2 proc. w UE).

W ostatnim roku rządów PiS gospodarka była w stagnacji. Wzrost rzędu 0,2 proc. można uznać za nieistotny. W tym czasie należące do największych beneficjentów RRF państwa południowej Europy, które w ostatnich dekadach były pod względem przyrostu PKB daleko w tyle, wypadły znacznie lepiej. W 2023 r. gospodarka Hiszpanii powiększyła się o 2,5 proc., Grecji o ponad 2 proc., a Włoch o niespełna 1 proc. Największe problemy dotyczyły odciętych od funduszy unijnych Węgrów – w 2023 r. zanotowali recesję (-0,8 proc.), a w kolejnych dwóch latach nie przekroczyli 1 proc. wzrostu (odpowiednio 0,7 i 0,5 proc.).

Pobieżny rzut oka na dane potwierdza więc, że w ostatnich latach RRF był istotnym boosterem wzrostu w Unii Europejskiej. Także najnowsze dane (za II kw. 2026 r.) są dla Polski niezwykle pomyślne. PKB kraju wzrósł o 3,7 proc. w stosunku do analogicznego okresu 2025 r., co było trzecim najlepszym wynikiem w UE. Szybciej rosły tylko Słowenia (4,8 proc.) i Litwa (3,8 proc.). Średnia unijna wyniosła ledwie 1,2 proc., więc była nawet ponad trzy razy niższa od wyniku Polski. Dzięki temu zapewne trzeci rok z rzędu poprawimy swój poziom rozwoju na tle całej Wspólnoty. W okresie 2021-2023 PKB per capita nad Wisłą spadł z 79 do 77 proc. średniej UE. W 2024 r. wrócił do poziomu 79 proc., a w zeszłym roku osiągnął 81 proc., co jest najlepszym wynikiem w historii. W ten sposób Polska znów dogoniła Portugalię, którą w 2021 r. wyprzedzała aż o 5 pkt proc.

Według prognoz polski PKB wzrośnie w całym 2026 r. o ok. 3,5 proc., i to pomimo konsumpcyjnej zadyszki i wywołanego wojną z Iranem wzrostu cen paliw. Inaczej niż w poprzednich latach, tym razem motorem wzrostu będą inwestycje. „Najmocniej odbiła produkcja budowlana, która w pierwszym kwartale była ograniczana przez skutki mrozów. W drugim produkcja budowlana o charakterze inwestycyjnym wzrosła o 16 proc. r/r, przy dalszym spadku prac remontowych. Nadal dobrze wyglądała produkcja inwestycyjna w przemyśle, rosnąc o 5 proc. r/r” – napisali analitycy PKO BP w swoim podsumowaniu danych GUS. Łączny wzrost inwestycji w II kw. mógł być dwucyfrowy (GUS podał na razie tylko dane wstępne), a sprzyjały im właśnie środki z KPO, których absorpcja wzrosła o jedną trzecią kwartału do kwartału. W pierwszej połowie 2026 r. w Polsce wydano cztery razy więcej pieniędzy z RRF niż rok wcześniej.

Wydatkowanie dziesiątków miliardów euro siłą rzeczy zwiększa aktualny PKB. Naprawdę istotna jest alokacja środków w taki sposób, by zwiększały one wzrost na długo po realizacji programu. Początkowe prognozy mówiły o długoterminowym podwyższeniu wzrostu Polski o 0,6 pkt proc. rocznie.

Przykład: m.in. dzięki napływowi pieniędzy z RRF już 79 proc. lokalni w Polsce jest podpiętych do światłowodów. Średnia dla UE to 74 proc. „Niemał 150 mld euro przeznaczonych na cyfryzację w ramach RRF (w Polsce ok. 7,25 mld euro) nie dość, że przyczyniło się do poprawy wskaźników cyfrowych, to wygenerowało też pozytywne efekty zewnętrzne. Całkowity efekt gospodarczy wykorzystania tych środków szacowany jest na ok. 219 mld euro w UE i 8,04 mld euro w Polsce” – napisali analitycy PIE w „Tygodniku Gospodarczym” z 23 lipca 2026 r.

Jacht z funduszy unijnych

Skrócony o dwa lata okres wydatkowania pieniędzy z RRF wymusił przyspieszenie procedury rozpisywania i rozstrzygania naborów. Siłą rzeczy część wniosków była nieprzemyślana lub wręcz po prostu była próbą wyciągnięcia środków unijnych, co z racji wysokiego tempa nie zostało wychwycone przez urzędników dokonujących selekcji projektów. Największy skandal wybuchł w związku z segmentem dotyczącym wsparcia branży HoReCa (hotelarstwo i gastronomia), która znacząco ucierpiała podczas pandemii COVID-19. Sam mechanizm RRF powstał przecież właśnie z powodu lockdownów i spowodowanej pandemią recesji, która wpędziła wiele firm w kłopoty. W sieci pojawiły się przykłady pozytywnie rozpatrzonych wniosków, które zawierały m.in. zakupy jachtów, saun, mebli czy sprzętu kuchennego. Komentujący sprawę internauci w większości odebrali to jak zakupy na cele prywatne, co szybko wykorzystali politycy opozycji, którzy ocenili sprawę jako „największy przekręt finansowy III RP”. „Zrujnowali finanse państwa. Nie potrafią zapewnić wpływów do budżetu, a teraz zobaczcie, co robią z pieniędzmi z KPO, które miały być przeznaczone na rozwój polskiej gospodarki” – mówił Jarosław Kaczyński.

Opozycja wykazała się w tej sprawie niebywałym cynizmem. Wsparcie branży HoReCa było przecież pomysłem rządu Mateusza Morawieckiego. Poza tym głównym założeniem była dywersyfikacja działalności przedsiębiorców z branży, tak by byli odporni na potencjalne ograniczenia gospodarki w przyszłości. Nic dziwnego, że np. właścicielka pizzerii chciała uruchomić także solarium. Z tego punktu widzenia zakupy ekspresów do kawy czy nawet żaglówek nie wyglądają już wcale tak absurdalnie. Nawet jeśli wśród dofinansowanych wniosków znalazły się jakieś jednoznacznie wątpliwe, to nie należy zapominać, że to rząd PiS był odpowiedzialny za to, iż środki z KPO zostały zamro-

Przekazanie 63 wozów
pożarniczo-ratunkowych
małopolskim jednostkom OSP.
20 września 2025 r.



żone i potem trzeba było je rozdysponować w ekspresowym tempie. Zresztą wyniki kontroli nie wykazały masowych nieprawidłowości.

– Zweryfikowaliśmy wszystkie 3206 podpisanych umów. Podzieliliśmy je na dwie kategorie: te, w których widać, że jest wszystko OK, oraz te, w których istnieje jakakolwiek, nawet minimalna możliwość, że coś jest nie tak. W ten sposób do dalszej kontroli przekazaliśmy 1389 projektów. Przeprowadziliśmy 39 pogłębionych kontroli. W siedmiu przypadkach wykryte zostały nieprawidłowości” – stwierdziła szefowa MFiPR Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz.

Duże problemy pojawiły się też przy grantach dla kultury. Tym razem poszkodowanymi byli wnioskodawcy, których aplikacje zostały masowo odrzucone. Spośród 4765 wniosków złożonych w II naborze do oceny merytorycznej przepuszczono zaledwie 924. W pozostałych znaleziono błędy, które uniemożliwiały dopuszczenie do konkursu. Niemal 2 tys. wniosków nie zawierało odpowiednich oświadczeń lub załączników. Wnioskodawcy przekonali, że wina leży po stronie programu elektronicznego Witkac, za którego pośrednictwem składano aplikacje, jednak błędów technicznych nie wykryto. Nawet jeśli faktycznie to artyści popełnili tyle błędów, już to, że ponad 80 proc. wniosków było złożonych niepoprawnie, powinno rodzić pytania, czy konkurs przebiegł w odpowiednich warunkach. Na ocenę merytoryczną wszystkich projektów urzędnicy mieli pierwotnie 30 dni. Niespełna 1 tys. finalnie dopuszczonych oceniali jednak dwa razy dłużej. Czy więc mogli w tak krótkim czasie solidnie sprawdzić niemal 5 tys. aplikacji? Zapewne lwią część odrzucali już na wstępie, nawet na podstawie bardzo błahych przesłanek. Po odwołaniach dopuszczono kolejne 137 przedsięwzięć. W ten sposób rozdysponowano nieco ponad połowę puli, czyli ok. 120 mln z 223 mln zł.

Plan wybrakowany

Krajowy Plan Odbudowy miał być nie tylko okazją do wydatkowania dodatkowych środków unijnych, lecz także ambitnym projektem, którego realizacja miała unowocześnić Polskę jak wcześniej akcesja do UE. Okazał się jednak tylko funduszem inwestycyjnym, gdyż kolejne ekipy rządzące szybko traciły zapał i zaczynały kręcić nosem wobec zawartych w nim kamieni milowych. Rząd PiS nie był w stanie uchwalić zmian w wymiarze sprawiedliwości, które umożliwiłyby odblokowanie funduszy. Obecna koalicja co rusz renegecjowała plan, skutecz-

nie przekonując Brukselę do wykreślenia kolejnych zobowiązań lub wybijając im zęby, gdyż ich wdrożenie mogło być niewygodne politycznie. Ostatecznie z KPO wypadło chociażby oskładkowanie umów o dzieło, które było zapowiadane już przed 2015 r., w okresie rządów PO-PSL. Opodatkowanie pojazdów spalinowych miało skłaniać do przesiadki do transportu publicznego, jednak nie spodobałoby się kierowcom, którzy są nad Wisłą niezwykle silną grupą elektoratu, więc także wypadło z KPO. Nie udało się zupełnie wykreślić reformy Państwowej Inspekcji Pracy wraz z rozszerzeniem uprawnień inspektorów o możliwość etatyzacji umów cywilnoprawnych decyzją administracyjną, więc uchwalono projekt, który znacząco ograniczał stosowanie tego rozwiązania (aż 12 miesięcy dla pracodawcy na dobrowolną zmianę umowy). Obniżono także wymagany odsetek gmin na uchwalonym planem zagospodarowania przestrzennego (z 40 do 30 proc.). Dokonywano też przesunięć, chociażby zmniejszając budżet na termomodernizację, która przebiegała zbyt wolno, więc było ryzyko, że pieniądze nie zostaną wydatkowane w terminie.

Realizacja KPO i tak stała się kołem ratunkowym dla obecnej koalicji rządzącej, niemającej na koncie żadnego innego dużego projektu, którym mogłaby się pochwalić. Nie licząc ważnych zmian w finansowaniu samorządów, w trwającej kadencji nie wdrożono żadnej dużej reformy, co wcale nie wynika z domniemanego sprzeciwu Pałacu Prezydenckiego, a na pewno nie przede wszystkim.

Dzięki odblokowaniu środków z RRF koalicja zapewniła przynajmniej wzrost gospodarczy, który w ostatnim roku rządów PiS niemal zupełnie zanikł. Środowisko Koalicji Obywatelskiej po raz kolejny udowodniło, że potrafi sprawnie absorbować środki unijne, co było jego specjalnością już przed 2015 r. Od przyszłego roku bezpośredni wpływ KPO na gospodarkę będzie już znacznie słabszy, więc okaże się, czy środki zostały ulokowane w rzeczywiście produktywnych projektach, które będą impulsem dla wzrostu w długim terminie. Nie oznacza to jednak, że polska gospodarka zostanie pozbawiona finansowego wsparcia z Brukseli. Niemal dokładnie w roku wyborczym koalicji spadł z nieba program zbrojeniowy SAFE, który dla gospodarki może mieć jeszcze większe znaczenie. ©©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

Dwuletnie opóźnienie w realizacji KPO okazało się dla nas całkiem korzystne, gdyż wypłaty zaczęły nadchodzić w okresie spowolnienia gospodarczego w Europie. Polska utrzymała dzięki temu solidny wzrost gospodarczy

Lokalny brak pomysłu

Samorządy zmarnowały miliardy złotych na zbędne albo absurdalne inwestycje. Częściowo dlatego, że rząd im na to pozwalał



Sebastian

Stodolak

Ronald Reagan mawiał, że rząd nie jest rozwiązaniem naszych problemów, lecz sam jest problemem. Patrząc na Polskę, pewnie by przytaknął. Rząd przekazuje miliardy złotych mediom narodowym, a jednocześnie skąpi pieniędzy na pomoc dla osób z niepełnosprawnościami. Wspiera niewydolne państwowe molochy kasą z podatków pobranych od dużo efektywniejszych prywatnych. Wprowadza kosztowne świadczenia socjalne, by potem się zastanawiać, jak sfinansować wydatki na armię. Przykłady można mnożyć.

Co jednak z samorządem? Czy lokalni politycy są na tym polu bez grzechu? Oczywiście, że nie. Nieprawidłowości w wydawaniu funduszy publicznych przez samorządy mają charakter systemowy. Mówimy tu potencjalnie o miliardach złotych trwonionych na zbędne i absurdalne inwestycje albo potrzebne, ale nieprze-myślane przedsięwzięcia.

Fuszerka za fuszerką

Nie da się dokładnie wyliczyć, jaka część z ok. 95 mld zł wydanych przez samorządy na inwestycje w 2025 r. została zmarnowana. Doniesienia medialne każą przypuszczać, że niemało. Należy czytać je w kontekście raportów

instytucji nadzorczych, z Najwyższą Izbą Kontroli na czele. Ich lektura daje dość jasny obraz lokalnych patologii.

Wśród najczęstszych zarzutów wymieniania się brak analiz wstępnych i odpowiedniego planowania. Przykłady? W 2016 r. mieszkańcy Kielc w ramach budżetu obywatelskiego zadecydowali o budowie boiska piłkarskiego. Pomysł dobry, ale wykonanie... Gdy połowa obiektu była gotowa, okazało się, że pod drugą częścią terenu przebiegają sieci gazowe i energetyczne, a koszt ich przełożenia wielokrotnie przekroczyłby budżet projektu. W ten sposób zmarnowano ok. 150 tys. zł. Z kolei w Krakowie w 2022 r. postawiono automatyczny szalek miejski, ale zapomniano przyłączyć go do prądu. Naprawa trwała dwa lata. Mówimy o inwestycji za niemal 600 tys. zł. To drobne w porównaniu z 7,5 mln zł wydanych na obwodnicę Bolesławia, która zyskała miano „podwodnica”. Zbudowano ją na terenach pokopalnianych, nie biorąc pod uwagę, że zakończenie odpompowywania wody z zakładu doprowadzi do jej zalania.

Inną patologią lokalnych inwestycji często pojawiającą się w raportach są naruszenia procedur i zawyżanie kosztów. Za przykład może służyć chociażby zainstalowanie w 2025 r. w Szczecinie źródła wody pitnej za ok. 46,7 tys. zł, choć rynkowa cena urządzenia to ok. 15 tys. zł. Kolejny – w latach 2021–2024 z budżetu województwa małopolskiego wydano ponad 220 tys. zł na ochronę marszał-

GOSPODARKA

ka Witolda Kozłowskiego. „Zamiast polegać na standardowych procedurach, zlecał firmom detektywistycznym regularne czyszczenie swojego gabinetu w urzędzie marszałkowskim, służbowego mieszkania przy ul. Przewóz w Krakowie oraz prywatnego domu. W sekretariacie marszałka stała szafa z lustrem weneckim, w której ukrywali się ochroniarze wyposażeni w kajdanki, gaz pieprzowy i pałki teleskopowe, obserwując gości (bez ich wiedzy)” – pisze Przemysław Staciwa w dokumentującej marnotrawstwo „Czarnej Księdze”, którą co roku publikuje Warsaw Enterprise Institute. Za najbardziej absurdalne inwestycje wręczamy antynagrodę – miniaturową wersję słomianego misia z kultowego filmu Stanisława Barei.

Lista inwestycyjnych zakalców co roku się wydłuża. W edycji z 2026 r. pojawiły się przedsięwzięcia ilustrujące inny problem często wskazywany przez NIK: niedostateczny nadzór inwestorski i błędy w wykonawstwie. Na warszawskim Ursynowie zamiast zapowiadanych zielonych skwerów zrobiono małe, wysypane korą klomby za ok. 170 tys. zł, które szybko stały się obiektem memów. W 2019 r. w ramach rewitalizacji Targu Jaracza w Łodzi zasadzono siedem wiązów, które sześć lat później wykopano i przesadzono. Nie wiadomo, dlaczego wymagało to kupna grabi za 38 tys. zł. Tak czy inaczej, z powodu braku odpowiedniej pielęgnacji dwa drzewa uschły. Moim ulubionym przykładem braku nadzoru jest zbiornik retencyjny przy ul. Folwarcznej w Krakowie, który rozpadł się jeszcze przed odbiorem pod wpływem... opadów deszczu. Ta fuszerka kosztowała 2,3 mln zł.

Rozsądek na deskach

Nieskończona kreatywność samorządowców nie pozwoli NIK się nudzić, ale nawet ona nie dostrzeże wszystkich uchybień. Do tego może jej umknąć najważniejsze pytanie: po co?

Jednostki samorządu terytorialnego mają prawo autonomicznie definiować własne potrzeby inwestycyjne. Stąd NIK nie kontroluje celowości realizowanych projektów tak jak w przypadku jednostek państwowych. Z pozoru ma to sens: skoro chcą ich lokalni decydenci, to najwyraźniej popierają ich wyborcy, a kim jest urzędnik, by to osądzać? Tymczasem celowość jest kluczowym problemem.

Czasami samorządy inwestują tylko dlatego, że ktoś im daje pieniądze. Weźmy przykład funduszy strukturalnych na rewitalizację, które zalały władze lokalne po przystąpieniu do Unii Europejskiej. Pomysły naszych samorządowców zazwyczaj sprowadzały się do wycinania z rynków krzewów, drzew i trawników, bo kojarzyły się z PRL. Zieleń zastępowano betonem i kiczowatą fontanną, którą następnie błogosławił miejscowy proboszcz. Koszty tych zabaw z przestrzenią małomiasteczkowej Polski szły w setki milionów złotych. Dzisiaj kolejne miliony wydaje się na zrywanie położonego wówczas bruku i ponownie sadzenie drzew. Dlaczego nie można było

tak od razu? Gdzie się podział rozsądek?

Przy przeglądzie katalogu absurdalnych inwestycji to ostatnie pytanie nasuwa się nieustannie. W przypadku wóldarzy Olsztyna odpowiedź jest dość jasna: rozsądek poległ na deskach. Obywatele zadecydowali tam o budowie sceny plenerowej, ale nie spodziewali się, że ponad 271 tys. zł pójdzie na drewniany podest bez zadaszenia, którego sam projekt kosztował 25 tys. zł. Czy było warto? Obejrzyjcie zdjęcia w sieci i sami ocenicie. A czy warto było wydawać 340 tys. zł na plac zabaw dla dorosłych w Gdańsku, który składał się z dwóch huśtawek, dwóch zwykłych ławek, dwóch koszy na śmieci, obrotowego leżaka i hamaka? Inwestycję oddano do użytku w 2021 r., a odpowiedzi wciąż brak. Albo jak wyjaśnić sens szaleństwa publicznego w szczyrim polu w Zakęciu? Dotację na budowę można było otrzymać tylko pod warunkiem, że prowadziła ona do obiektu użyteczności publicznej. Jakiegokolwiek. Czy właśnie po to wydano 165 tys. zł? Ech, gdyby żył Bareja...

Samorządy na potęgę marnują pieniądze publiczne, choć właśnie na tym szczeblu kontrola powinna być najsilniejsza. W teorii lokalny polityk, który nie dowozi swoich obietnic albo wypuszcza fuszerkę za fuszerką, powinien pożegnać się z władzą przy okazji najbliższych wyborów. A jednak tak nie jest. Według danych Unii Metropolii Polskich aż 61 proc. obecnych wóldarzy sprawuje przynajmniej drugą kadencję. Czy aż tak dobrze wykonują swoją pracę? W świetle tego, co wcześniej napisałem, takie myślenie byłoby naiwnością.

Dużo bardziej prawdopodobne, że polityczna odpowiedzialność została zniesiona. Wyborca-podatkodawca nie odczuwa bezpośrednio błędnych decyzji inwestycyjnych własnego wójta czy burmistrza, więc nie ma motywacji, by go karać.

Niektórzy wierzą, że patologie w inwestycjach lokalnych można ukrócić, wzmacniając uprawnienia instytucji kontrolnych, reformując prawo zamówień publicznych czy zwiększając transparentność wydatków samorządowych (temu służy funkcjonujący od niedawna Centralny Rejestr Umów). To godne pochwały propozycje, ale ich efekt będzie ograniczony i krótkotrwały – jeśli nie kosmetyczny.

Na łasce Warszawy

Czy marnotrawstwo władzy lokalnej może uleczyć wprowadzona w 2018 r. zasada dwukadencyjności? Wydaje się, że nie jest to możliwe. Po pierwsze, w demokracji to wyborcy powinni oceniać, jak chce być rządzony przez danego polityka. Po drugie, dwukadencyjność nie dotyka istoty problemu; wręcz przeciwnie – może go wręcz zaostrzyć. Osoby, które dzisiaj – mimo niesprzyjających uwarunkowań instytucjonalnych – potrafią w sensowny sposób wydawać pieniądze publiczne, po 10 latach będą automatycznie odsuwane od władzy i zastępowane przez przeciwników.

Marnotrawstwo nie jest wyłącznie problemem proceduralnym. To również kwestia bodźców płynących z samego mechanizmu finansowania zadań samorządu terytorialnego. A tych jest mnóstwo: od prowadzenia szkół przez gospodarkę odpadami i transport publiczny po utrzymanie dróg, pomoc społeczną i ochronę środowiska. JST odpowiadają za ogromną część usług publicznych, by politycy w Warszawie mogli się zajmować sami sobą.

Tylko skąd brać na to pieniądze, skoro opłaty i podatki lokalne czy dochody z majątku dają samorządom ok. 117 mld zł rocznie, a ich potrzeby wydatkowe zbliżają się do 470 mld zł? Z Unii można pozyskać tylko 15–20 mld zł rocznie. Największym źródłem pieniędzy dla samorządów są dochody z PIT i CIT (w 2025 r. było to ok. 202 mld zł). Kolejne to subwencja ogólna (ok. 51 mld zł) i dotacje celowe (niecałe 80 mld zł). Formalnie dochody z PIT i CIT kwalifikuje się jako dochody własne JST – od reformy z 2025 r. ich wysokość zależy od dochodów podatników mieszkających na terenie danej jednostki. Teoretycznie powinno to zachęcać rządzących do dbania o zamożność mieszkańców. W praktyce ponad 74 proc. dochodów JST jest zależnych od Warszawy.

Jeśli gmina X chciałaby konkurować z gminą Y o bogatych mieszkańców, może to zrobić przede wszystkim podatkiem od nieruchomości (jego stawki maksymalne są określone ustawowo). Z drugiej strony, jeśli musi przeprowadzić większą inwestycję, nie może podnieść podatków dochodowych. W takim wypadku jedyną drogą jest zwrócenie się o pomoc do Warszawy.

Oczywiście, są też obszary, w których samorządy mają pewną dozę swobody: mogą wydawać lokalną prasę, tworzyć spółki prawa handlowego, finansować sport i organizacje pozarządowe oraz realizować duże inwestycje komercyjne o charakterze rozrywkowym (np. budować aquaparki). Tak się jednak składa, że w tych obszarach NIK regularnie znajduje mnóstwo nieprawidłowości. To m.in. finansowanie propagandy, wyprowadzanie zadań własnych do podmiotów zewnętrznych, by obchodzić limity zadłużenia, albo dotowanie prywatnych klubów sportowych.

Podatnicy nie widzą bezpośredniego związku między ich podatkami a tym, jak rozwija się ich gmina czy województwo. A przecież przestrzelone i absurdalne inwestycje uderzą po kieszeni również ich, bo subwencję ogólną trzeba z czegoś sfinansować. Sprzyja to sytuacji, w których samorządy inwestują w widowiskowe i bardzo drogie projekty. W trakcie kampanii wyborczej wóldarze mogą uroczyście przeciąć wstęgę, ale później pozostają wysokie koszty stałe (np. lokalne baseny) albo ujawniają się wady ukryte (jak zapadające się drogi).

Wzór do naśladowania

Czy można to zmienić? Nie tylko można i trzeba, ale też dość dobrze wiadomo, jak to zrobić.

Wystarczy rzucić okiem na Szwajcarię. Jej system opiera się na przekonaniu,

że naród jest suwerenem nie tylko z nazwy. Nie uznaje się tam biurokratycznych metod rozwiązywania problemów. Zasada kadencyjności właściwie tam nie istnieje, a decyzja o tym, czy ją wprowadzić, zależy od kantonów i gmin, a nie od władzy federalnej. Na poziomie rządu obowiązuje ona tylko w Gryzonii, a na poziomie parlamentu – w Bazylei-Mieście, Bazylei-Okregu i Obwalden. Poza tym ograniczenia nie są zbyt restrykcyjne – dany polityk może sprawować stanowisko nawet przez 16 lat. W Szwajcarii nie liczy się bowiem to, jak długo i kto rządzi, ale jak. A to, jak rządzi, zależy od tego, na co pozwalają mu podatnicy. Szwajcarskie gminy czerpią średnio ponad 80 proc. dochodów własnych z tego, co wpada do ich budżetów. Podatki kantonalne i gminne często ważą więcej niż podatki federalne. Według strony taxmaze.ch mieszkańiec Zurychu zarabiający 100 tys. franków brutto zapłaci podatek federalny w wysokości ok. 2,7 proc. dochodu, podatek kantonalny na poziomie 6,1 proc., a podatek gminny wyniesie ok. 7,4 proc.

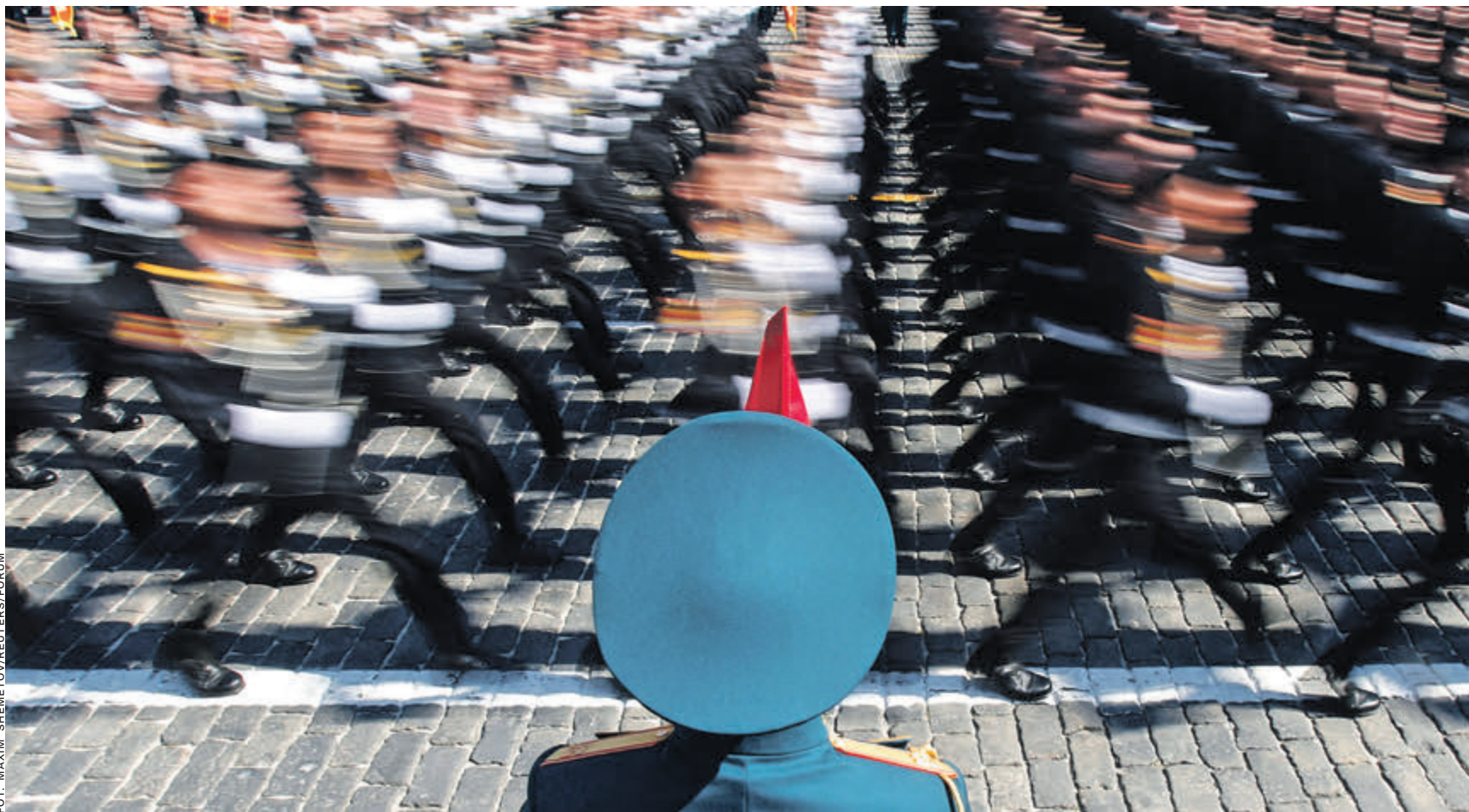
Dzięki sporej swobodzie w ustalaniu stawek podatku dochodowego gminy mogą ze sobą konkurować o mieszkańców i firmy – i o dziwo nie prowadzi to do wyścigu na dno. Jakość usług gminnych jest na wysokim poziomie, bo obok mechanizmu konkurencji fiskalnej w Szwajcarii istnieje silna demokratyczna kontrola wydatków. W wielu gminach obowiązuje zasada, że mieszkańcy muszą wyrazić w referendum zgodę na większe inwestycje. W rezultacie są one przemyślane – rzadko dochodzi do budowy zbyt drogich, niepotrzebnych obiektów. Lokalna społeczność może skłonić gminę, aby koncentrowała się na tym, czego potrzeba jej najbardziej. Mechanizm finansowania samorządu w Szwajcarii uzupełniają reguła fiskalna i możliwość bankructwa z restrukturyzacją, które wiążą się z koniecznością zaciśnięcia pasa.

Podsumowując, model ten łączy ocenę celowości projektu samorządowego z jego sensem ekonomicznym i skutkami finansowymi dla obywatela. Dlatego więc Polska po 1989 r. nie poszła podobnym tropem? W naszym ustroju politycznym replikują się i rozprzestrzeniają złe praktyki. Właśnie tym należy tłumaczyć brak właściwych rozwiązań dla samorządów. Odpowiedzialność ponoszą za to wszystkie ekipy rządzące, które centralizowały finansowanie potrzeb wspólnot lokalnych, zamiast dawać im więcej swobody w wydawaniu i pozyskiwaniu pieniędzy. W czasach drożyzny i niepewności nie możemy już dłużej tego ignorować. Rozwiązaniem jest realna decentralizacja, a wręcz quasi-federalizacja kraju. Będzie to równoznaczne nie tylko z ograniczeniem marnotrawstwa, lecz przede wszystkim z przekazaniem większej władzy obywatelom. Wszyscy na tym skorzystają. ©

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl



FOT. MAXIM SHEMETOV/REUTERS/FORUM

Parada zwycięstwa
na Placu Czerwonym
w Moskwie.
7 maja 2019 r.

Rosja nie uznaje utraty Polski za ostateczną

Żadne z państw naszego regionu pozostawione samo sobie nie jest w stanie poradzić sobie z Rosją – nawet Rosją osłabioną

Z Katarzyną

Zysk

rozmawia Daria Al Shehabi

Rosja nadal patrzy na Polskę jak na państwo, które znalazło się w cudzej strefie wpływów? Z perspektywy Rosji nie jesteśmy równorzędnym partnerem dla mocarstw, do których grona sama się zalicza. Kreml postrzega Polskę jako obszar, nad którym utracił dominację na rzecz USA. Dziś, dzięki członkostwu w NATO i obecności amerykańskich żołnierzy, jesteśmy z rosyjskiej perspektywy nie do ruszenia bezpośrednim atakiem militarnym. Przynajmniej w krótkiej perspektywie.

Kreml uważa, że utracił tę dominację ostatecznie czy tylko tymczasowo?

Moskwa nigdy nie pogodziła się z utratą wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. Jednym z jej strategicznych celów pozostaje osłabienie NATO i UE oraz ograniczenie politycznej i wojskowej obecności Stanów Zjedno-

zonych w Europie. Kreml nie zakłada, że obecna architektura bezpieczeństwa jest dana raz na zawsze. Od ponad 20 lat stara się tę architekturę zmieniać środkami politycznymi, ekonomicznymi i wojskowymi.

Skąd bierze się takie myślenie?

Z tego, że Rosja inaczej niż

my rozumie wojnę i pokój?

Dla nas rozróżnienie jest

jasne: albo żyjemy normalnie,

albo spadają na nas bomby.

Dla Kremla konfrontacja z Zachodem jest stanem permanentnym. Nie zaczyna się w konkretnym momencie i nie kończy wraz z podpisaniem kolejnego porozumienia. Bezpośrednie użycie siły zbrojnej jest tylko jednym z etapów eskalacji. Konfrontacja toczy się od lat bez otwartego konfliktu zbrojnego. Zmieniają się tylko jej natężenie, narzędzia i cele pośrednie, ale ona sama trwa.

Czyli my możemy uważać, że żyjemy w pokoju, a Rosja – że wojna trwa.

Na Zachodzie wojna kojarzy się ze starciem militarnym. Z perspek-

tywy Moskwy niebezpośrednia konfrontacja może być jej formą. Rosja od lat otwarcie mówi przeciwko stanowi wojny z Zachodem. Część tej retoryki służy propagandzie wewnętrznej, ale jednocześnie odzwierciedla sposób myślenia tamtejszych elit politycznych. Idee prodemokratyczne są przez nie odbierane jako ingerencja w rosyjskie interesy – zarówno w samej Rosji, jak i w państwach sąsiednich.

Dla Zachodu wybuch wojny oznacza, że odstraszenie zawiodło.

A dla Rosji?

W tamtejszej doktrynie wojskowej odstraszenie trwa też po rozpoczęciu konfliktu. Ma ofensywny charakter. Szef rosyjskiego Sztabu Generalnego Walerij Gierasimow mówił przeciwko „aktywnej obronie”, która dopuszcza atak. Z perspektywy Kremla uderzenie wyprzedzające może być jednocześnie działaniem obronnym i elementem odstraszenia. Widzieliśmy to przed rozpoczęciem pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w 2022 r. i po jej rozpoczęciu, kiedy Moskwa sygnalizowała gotowość użycia broni jądrowej na wypadek bezpośredniej ingerencji NATO.

I w ten sposób Kreml skutecznie zarządza zachodnim strachem przed eskalacją konfliktu.

Skutecznie, ale do pewnego stopnia i w ograniczonych okresach wojny z Ukrainą. Rosja wie, jak silny jest na Zachodzie lęk przed starciem mocarstw nuklearnych. Dlatego testuje, jak daleko może się posunąć, zanim spotka się z twardą reakcją. Rosyjskie odstraszenie jądrowe działa w dużej mierze na poziomie psychologicznym, starając się wpłynąć na kalkulacje zachodnich państw dotyczące skali oraz charakteru wsparcia dla Ukrainy, a także polityki wobec Rosji.

Pojęcie wojny hybrydowej stało się już takim wytrychem, że oznacza wszystko i nic. Co konkretnie się pod nim kryje?

Sam przymiotnik „hybrydowy” faktycznie niewiele wyjaśnia. Najczęściej chodzi o wykorzystywanie całego zestawu narzędzi wojskowych oraz niewojskowych – wywiadowczych, cybernetycznych, gospodarczych, politycznych czy informacyjnych – i dostosowywanie ich do sytuacji pod ochroną parasola jądrowego.

Przykłady?

To ingerencje w procesy polityczne na Zachodzie, m.in. w wybory prezydenckie w USA w 2016 r. i 2024 r., w wybory do Parlamentu Europejskiego

BEZPIECZEŃSTWO

w 2024 r. czy w Rumunii tego samego roku – tam pierwsza tura wyborów prezydenckich została wręcz unieważniona. Lista udokumentowanych operacji wpływu jest długa. Podobnie wygląda kwestia prób korumpowania europejskich polityków, szczególnie związanych z partiami populistycznymi. To choćby Petr Bystron z AfD, wobec którego pojawiły się zarzuty przyjęcia 25 tys. euro od prorosyjskiej sieci wpływu, czy francuskie Zjednoczenie Narodowe, które otrzymało wielomilionową pożyczkę z rosyjskiego banku. Na Węgrzech szczególnie wymowne są przypadek Béli Kovácsa, byłego europosła Jobbiku skazanego za szpiegostwo na rzecz Rosji, oraz głębokie polityczne, energetyczne i gospodarcze powiązania z Moskwą Viktora Orbána i Fideszu. Rosja dokonywała również zabójstw i prób zabójstw politycznych na terytorium Zachodniej Europy – to otrucie Aleksandra Litwinienki w 2006 r., morderstwo czeczeńskiego działacza Zelimchana Changoszwilego w 2019 r. oraz próba zabicia Siergieja Skripała w 2018 r. Rosyjskim służbom przypisywano organizację próby zamachu stanu w Czarnogórze w 2016 r., mającego zablokować akcesję do NATO, i przygotowanie planu obalenia rządu Mołdawii w 2023 r. Po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny przeciwko Ukrainie Rosja znacznie zintensyfikowała tego rodzaju działania, szczególnie wobec państw frontowych NATO.

Tylko czy nie robimy Rosji przysługi, przypisując jej prowadzenie genialnej strategii rozpisaną na lata? Nie każde podpalenie czy awaria pociągów są dziełem agentów Kremla. Nie każdy polityczny ekstremizm jest wspierany przez Moskwę.

Tak, nie wszystko, co obserwujemy w Polsce i w innych państwach europejskich, jest skutkiem operacji rosyjskich służb, a to, co nimi jest, bywa dalekie od genialności. Wiele operacji, takich jak choćby próby sabotażu, udało się powstrzymać. Część działań jest skoordynowana, część ma charakter oportunistyczny, część może nie mieć związku z państwem rosyjskim. I to jest właśnie jedno z największych wyzwań, ponieważ granica między sabotażem, działalnością wywiadowczą, zwykłą przestępczością a przypadkową awarią bardzo łatwo się zaciera. Trudniej wtedy ustalić, z czym mamy do czynienia, i zdecydować, jak reagować.

Czy to oznacza, że system demokratyczny ma wbudowaną w siebie poważną wadę? Zanim uzgodnimy procedury między resortami, przeciwnik jest już o trzy kroki dalej. Fragmentacja instytucjonalna nie jest wadą naszych systemów, lecz cechą, którą Rosja potrafi bezwzględnie obrócić przeciwko nam. Rozproszenie kompetencji chroni demokrację przed przejściem państwa przez jeden ośrodek władzy i właśnie dlatego jest ich siłą. Problemem nie jest więc brak jednej struktury kontrolującej wojsko, służby, gospodarkę, media i administrację cywilną. Problem pojawia się tam, gdzie instytucje nie potrafią wystarcza-

jąco szybko wymieniać się informacjami, a przede wszystkim tam, gdzie nikt nie ma jasnego mandatu do podjęcia decyzji przy niepełnej wiedzy. Służby, wojsko i administracja muszą współpracować w trybie ciągłym, a nie dopiero w momencie kryzysu. To samo dotyczy poziomu międzynarodowego, na którym szczególnie ważna jest współpraca NATO z Unią Europejską. Bo to Unia dysponuje narzędziami reagowania niewojskowego, których Sojusz nie ma; ma np. reżim sankcyjny wymierzony w działania hybrydowe, postępowania wobec platform cyfrowych i przepisy o infrastrukturze krytycznej.

Rosja ma jeszcze jedną przewagę nad nami: może latami pracować na podziały w demokratycznych społeczeństwach.

Kreml stara się zaszczyć w zachodniej przestrzeni publicznej określone narracje, które może wykorzystać, kiedy nadarzy się dogodna okazja polityczna. Testuje i rozwija wątki, które „chwytają”. Kiedy rosną w siłę nastroje ekstremistyczne, wykorzystuje wcześniej przygotowany grunt. Najważniejsze jest jednak to, że celem niekoniecznie jest przekonanie kogokolwiek, iż Rosja ma rację. Celem jest wprowadzenie takiej dawki wątpliwości, by debata albo się spolaryzowała, albo zamarała: skoro sześć teorii wskazuje sześć różnych odpowiedzi, to odbiorca może dojść do wniosku, że ustalenie, co jest prawdą, jest niemożliwe. To uderza w sam fundament systemu demokratycznego, który opiera się na wspólnej przestrzeni faktów umożliwiającej racjonalny spór, rozliczanie władzy i podejmowanie kolektywnych decyzji. Eksploatowany jest przy tym fundament demokracji, czyli wolność słowa, i to jest pułapka, z której nie ma łatwego wyjścia. Nie możemy zamknąć ust ludziom szerzącym pro-rosyjską propagandę, jeżeli nie łamią prawa, ponieważ zniszczylibyśmy w ten sposób własny system. Możemy natomiast uderzać w techniczną infrastrukturę operacji wpływu, np. likwidować farmy botów.

Tylko czy sukces Moskwy nie zaczyna się wtedy, kiedy sami zaczynamy używać jej języka?

Semantyka ma fundamentalne znaczenie. Proszę zwrócić uwagę, jak powszechnie na Zachodzie zaczęto używać sformułowania „ekspansja NATO” zamiast „rozszerzenie NATO”. Słowo „ekspansja” pochodzi z rosyjskiego aparatu pojęciowego i narzuca skojarzenie z czymś agresywnym i narzuconym siłą. A przecież w latach 90. Zachód nie palił się do rozszerzania Sojuszu. To państwa Europy Środkowej i Wschodniej zabiegały o przyjęcie do NATO. Rosyjska narracja odwraca tę perspektywę: robi z Sojuszu agresora, a państwom naszego regionu odbiera sprawczość. Niestety ten język przeniknął głęboko do zachodniego dyskursu.

Wygodnie byłoby uwierzyć, że problemem jest tylko Władimir Putin, a po nim nastanie zupełnie inna Rosja.

Putin ukształtował wiele elementów dzisiejszej polityki rosyjskiej, ale jej zasadnicze mechanizmy są znacznie starsze. Po krótkim okresie proatlantyckim na początku prezydentury Borysa Jelcyna szybko powróciło tradycyjne myślenie imperialne, a ugruntowało się to zwłaszcza podczas drugiej kadencji Putina, w latach 2004–2008. Sposób postrzegania bezpieczeństwa i zasad rządzących systemem międzynarodowym, wyobrażenia o miejscu Rosji w świecie i jej stosunku do sąsiadów kształtowały się przez stulecia, a ich korzenie są zarówno w doświadczeniu carskim, jak i radzieckim. Nie znaczy to, że Rosja jest skazana na taką politykę; mówimy o wyborach elit i o instytucjach. Oznacza to jednak, że sama zmiana władcy Kremla niekoniecznie te głębokie struktury usunie. Zmiana jest możliwa, ale wymagałaby prawdopodobnie radykalnych działań.

Gdzie Rosja sama siebie lokuje w tym porządku świata?

W rosyjskiej optyce światem powinno zarządzać kilka potęg, uzgadniających między sobą reguły gry i strefy wpływów. Szef dyplomacji Siergiej Ławrow widział w tej roli Stany Zjednoczone, Unię Europejską i Rosję, a wpływowy technolog polityczny Siergiej Karaganow w 2017 r. zastąpił Europę Chinami. Suwerenność rozumiana jest tu nie jako przysługujące każdemu prawo, lecz jako zdolność mierzona siłą militarną, samodzielnością gospodarczą i odrębnością kulturową. Kto tej zdolności nie ma, pozostaje niepodległy, lecz jego bezpieczeństwo wynika z relacji z mocarstwem, a nie z własnego potencjału. Rosja postrzega przy tym siebie jako odrębną cywilizację, historycznie uprawnioną do współdecydowania o porządku światowym, a obszar postsowiecki jako naturalną strefę swoich uprzywilejowanych interesów. Wyrażną cezurą był tu 2007 r. W przemówieniu na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa Putin zakwestionował porządek międzynarodowy zdominowany przez USA. Model jednobiegunowy uznał za nie do przyjęcia, oskarżył Waszyngton o narzucanie innym państwom własnych reguł, a rozszerzenie NATO określił jako poważny czynnik destabilizujący. W tym samym roku Estonia padła ofiarą masowych cyberataków, a Rosja ogłosiła moratorium na wykonywanie postanowień Traktatu o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie. Coraz wyraźniej artykułowała również wizję ładu, w którym o bezpieczeństwie kontynentu nie decyduje równość suwerennych państw, lecz układ między największymi mocarstwami, negocjującymi ponad głowami mniejszych państw granice swoich stref wpływów.

I dlatego Ukraina jest dla Rosji czymś więcej niż kolejnym sąsiadem, którego chce kontrolować?

Ukraina zajmuje centralne miejsce zarówno w rosyjskiej mitologii państwowej, jak i w koncepcji bezpieczeństwa. Kreml uzasadnia potrzebę jej podporządkowania m.in. koniecz-

nością posiadania „głębi strategicznej” na Zachodzie. Z punktu widzenia współczesnych technologii wojskowych tradycyjny argument o terytorialnym buforze jest mało przekonujący. Politycznie i symbolicznie pozostaje jednak wygodnym narzędziem. Panuje też przekonanie, że bez kontroli nad Ukrainą odbudowa rosyjskiego imperium będzie znacznie trudniejsza, o ile w ogóle możliwa.

A jednocześnie Polska coraz częściej klóci się z Ukrainą. Spieramy się o UPA i Wołyń, dzieli nas polityka wobec uchodźców, mamy sprzeczne interesy gospodarcze. Skoro nasze bezpieczeństwo jest tak mocno związane, to nie strzelamy sobie w stopę?

To mało powiedziane. W obecnej sytuacji takie napięcia mogą wręcz tworzyć zagrożenie o charakterze egzystencjalnym. Polska i Ukraina mają realne problemy i spory: historyczne, polityczne i gospodarcze. Siła rosyjskiej strategii polega jednak właśnie na tym, że Moskwa nie musi ich wymyślać. Wystarczy, że istniejące podziały odpowiednio rozdmuchuje i wykorzystuje przeciwko obu państwom. Polska zbudowała w ostatnich latach znaczący kapitał polityczny w Europie, także dzięki roli, którą odegrała we wsparciu Ukrainy podczas pełnoskalowej rosyjskiej inwazji. Narastające konflikty polsko-ukraińskie ten kapitał osłabiają. Co ważniejsze, podważają spójność wspólnego frontu wobec Rosji, który jest jednym z najważniejszych elementów obrony Polski i NATO. Spory między Warszawą a Kijowem powinny być rozwiązywane, lecz trzeba umieć odróżnić, co dla bezpieczeństwa obu państw jest dziś strategicznie fundamentalne.

Czyli Moskwa nie musi nas pokonać. Pokonamy się sami, jeśli pokłócimy się z sąsiadami i pozostaniemy osamotnieni.

Oslabienie pozycji i reputacji Polski, a także pogorszenie relacji polsko-ukraińskich należą do priorytetów Rosji, która od początku pełnoskalowej inwazji starała się te napięcia podsycać. Kreml od dawna dąży również do bilateralizacji stosunków z państwami europejskimi: chce mieć naprzeciwko siebie pojedyncze stolice, a nie NATO czy Unię Europejską mówiące wspólnym głosem. Powód jest prosty: w formacie dwustronnym różnica potencjałów działa zawsze na korzyść Rosji. Właśnie dlatego Polska za wszelką cenę dążyła do członkostwa w NATO i UE i dlatego Ukraina chce dziś tego samego. Żadne z państw naszego regionu pozostawione samo sobie nie jest w stanie poradzić sobie z Rosją – nawet Rosją osłabioną. ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Katarzyna
Zyska

profesor stosunków międzynarodowych i historii współczesnej w Norweskim Instytucie Studiów Obronnych w Oslo

Świat

Siły NATO po zakończeniu
ćwiczeń Steadfast Dart
2025 w Rumunii



FOT. DANIEL MIHAILESCU/AFP/EAST NEWS

Unia w poszukiwaniu twardej siły

Legia Europejska – jeśli nawet kiedykolwiek powstanie – z pewnością nie będzie formacją decydującą o militarnym bezpieczeństwie Starego Kontynentu. Dyskusja o niej może się natomiast stać katalizatorem ważnych zmian politycznych i mentalnych wewnątrz Unii

Witold

Sokała

– Zdecydowanie opowiadał się za utworzeniem Legii Europejskiej – powiedział minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski w wywiadzie udzielonym niedawno greckiemu dziennikowi „Kathimerini”. Powtórzył w ten sposób swoją propozycję sformułowaną w rozmowie z dziennikarzami kilka miesięcy temu, przed posiedzeniem unijnej Rady ds. Zagranicznych (FAC) w Brukseli. Szef polskiej dyplomacji nie podał jednak niestety zbyt wielu szczegółów. Wiemy tylko, że wedle jego koncepcji miałyby zostać powołane formacja w sile brygady, podporządkowana władzom Unii Europejskiej, rekrutująca obywateli państw członkowskich i państw kandydujących lub należących do „szerszej rodziny europejskiej”.

Prawda etapu

Sikorski zastrzegł przy tym wyrażnie, że taka legia nie byłaby „równoległą alternatywą dla Sojuszu Północnoatlantyckiego”. – Potrzebujemy silniejszego europejskiego filaru w ramach silniejszego NATO. Nasze interesy się uzupełniają, a nie wykluczają. Stany Zjednoczone pozostają niezastąpionym filarem naszej wspólnej obrony, ale ich rola ewoluuje. Ameryka będzie nadal zapewniać niezrównane możliwości technologiczne i wywiadowcze, ale Europa musi wziąć na siebie ciężar działań na miejscu – ocenił.

Z obu wypowiedzi Sikorskiego jasno wynika też, że formacja nie miałaby zastąpić własnych sił zbrojnych poszczególnych państw. – Mówienie o armii federalnej jest niecelowe, bo nierealistyczne, bo nie dojdzie do połączenia armii naro-

dowych – wskazywał minister na styczniowej konferencji prasowej w Brukseli. W Grecji mówił natomiast o konieczności „głębszej integracji wojskowej UE”, ale przede wszystkim przez zwiększenie finansowania działań na rzecz bezpieczeństwa, a także zintensyfikowanie i koordynację produkcji zbrojeniowej i zakupów na rzecz obronności.

Z eksperckiego punktu widzenia trudno się z takim stanowiskiem nie zgodzić. Nie przeszkodziło to wielu naszym komentatorom oraz opozycyjnym politykom uderzyć w dzwony na trwogę: oto filar rządu Donalda Tuska chce poć zlikwidować Wojsko Polskie oraz oddać Ojczyznę na pastwę jakichś eurożołdaków. Chyba zapomniano przy tym, że sam Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla niemieckiego „Welt am Sonntag” mówił już 16 lat temu, że „Unia musi zdobyć się na stworzenie wspólnej armii i zadanie to nie może być nieustannie odkła-

dane”. Nieco później w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego” twierdził natomiast, że jego partia opowiada się za „Europą, która będzie posiadała własne, silne i sprawne siły zbrojne, podlegające prezydentowi Unii Europejskiej”, co dawałoby Unii „rzeczywistą pozycję światowego mocarstwa”. Teraz niektórzy sympatycy ugrupowań prawicowych wprost porównali pomysł Sikorskiego – znacznie mniej rozbuchany w formie i treści – do Waffen SS, co obrazuje nie tylko zmianę podejścia części polskich elit politycznych do integracji europejskiej, lecz także skalę niszczącej naszą debatę publiczną demagogii.

Owszem, samego Sikorskiego można z kolei podejrzewać, że za jego kolejnymi medialnymi wrzutkami nie stoi żadna spójna i przemyślana koncepcja, a jedynie chęć zaprezentowania się w roli strategicznego wizjonera, ewentualnie spowodowania szumu informacyjnego i przykrycia w ten sposób innych tematów, mniej wygodnych dla koalicji rządzącej. Nawet jeśli tak jest, nie uchyla to sensu i potrzeby refleksji oraz debaty nad złożoną propozycją. Bo jeśli Unia ma przetrwać i zwiększać swoją rolę jako generator bezpieczeństwa dla swoich członków, to nowe narzędzia są jej po prostu niezbędne. Jeśli natomiast ma z tej funkcji abdykować, a w konsekwencji dążyć do stopniowego upadku lub nawet szybkiego rozpadu, to lepiej, żebyśmy wszyscy jak najwcześniej i ostatecznie uświadomili sobie nieuchronność takiego scenariusza. Także ci, którzy do tej pory niezachwianie obstawiają wariant integracyjny jako najbardziej pożądany lub wręcz jedyne możliwe. Temat Legii Europejskiej i stosunek do niej szerszych kręgów społeczeństwa, nie tylko zresztą polskiego, mogą tu być pożytecznym papierkiem lakmusowym. Testem nie tylko intencji i chęci, lecz również instytucjonalnych możliwości.

Entuzjastów koncepcji Sikorskiego warto jednak zawczasu przestrzec, że istnieją liczne rafa i przeszkody. Nie tylko mentalne i polityczne, lecz także prawne i organizacyjne.

Kolektywny Napoleon?

Na początek kwestia podporządkowania i dowodzenia. Szef naszej dyplomacji wskazał, że nowa formacja miałaby podlegać unijnej Radzie ds. Zagranicznych, czyli konferencji ministrów ze wszystkich państw członkowskich, odpowiedzialnych za sprawy zagraniczne i obronę, ale także handel i rozwój. Zależnie od konkretnej tematyki i porządku posiedzeń ciało to spotyka się w różnych konfiguracjach, także z udziałem właściwych urzędników unijnych, w Brukseli lub w Luksemburgu, zazwyczaj pod przewodnictwem wysokiego przedstawiciela UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa (obecnie Kai Kallas). Jedynie w czasie obrad na tematy handlowe – przynajmniej raz na pół roku – pracuje pod kierunkiem przedstawiciela rotacyjnej prezydencji Rady Unii Europejskiej (każde państwo dostępuje tego zaszczytu po kolei, a kadencja trwa sześć miesięcy). Zapleczem Rady ds. Zagranicznych jest tzw. Coreper, czyli zespół złożony ze stałych przedstawicieli rządów państw członkowskich, wspierany przez Komitet

BEZPIECZEŃSTWO

Polityczny i Bezpieczeństwa (kierowany przez delegata biura wysokiego przedstawiciela, pracujący z udziałem przewodniczącego Komitetu Wojskowego UE) oraz liczne pomniejsze ciała stałe i wyspecjalizowane grupy robocze.

Taki skomplikowany i sformalizowany system nadaje się do okazjonalnej wymiany poglądów przy kawie i ciasteczkach pomiędzy poszczególnymi rządami a brukselską biurokracją, ale raczej nie do realnego zadaniowania własnej formacji wojskowej. Zwłaszcza gdy zajdzie potrzeba szybkiego jej uruchomienia, a Sikorski właśnie takimi sytuacjami uważa sens istnienia Legii Europejskiej.

Jeśli taka wspólna formacja miałaby działać, musi być podporządkowana bezpośrednio komuś, kto jest zainstalowany w unijnej centrali na stałe i kto ma nadane przez państwa członkowskie kompetencje do realizowania konkretnych polityk w dziedzinie bezpieczeństwa. Oczywiście uprzednio zatwierdzonych przez wszelkie rady, komitety, komisje i podkomisje, a także Parlament Europejski. W sytuacjach wątpliwych ten ktoś mógłby też błyskawicznie konsultować się z przywódcami państw, a także szefostwem unijnej egzekutywy (mamy w końcu XXI w. i rozwinięte technologie komunikacji zdalnej). Musiałby jednak mieć kompetencje do podejmowania jednoosobowej, ostatecznej decyzji (i oczywiście ponosić za nią odpowiedzialność).

To oznacza, że formalnym i faktycznym zwierzchnikiem legii musi być ktoś potężniejszy niż np. suflowany przez część ekspertów jako optymalny w tej roli przewodniczący Sztabu Wojskowego UE, czyli co najmniej trzygwiazdkowy generał kierujący jedną z dyrekcji w ramach Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych. To stanowisko czysto techniczne, a więc na poziomie właściwym do odpowiedzi na pytanie „jak”, a nie „czy” podejmować interwencję wojskową.

Dzisiaj są więc dwie możliwości – wysoki przedstawiciel albo przewodniczący Komisji Europejskiej, przy czym to pierwsze rozwiązanie wydaje się lepsze ze względów merytorycznych i pragmatycznych. Oba wymagałyby, niezależnie od ogólnej zgody politycznej, żmudnych procedur zmiany unijnego prawa. To nie byłoby łatwe, lecz dałoby się zrobić. Ale w obu przypadkach oznaczałoby to polityczne wzmocnienie danej funkcji, co nie wszystkim będzie w smak. Dlatego pewnie pojawi się lobbing na rzecz rozmycia władzy i odpowiedzialności w „zbiorowym dowodzeniu”, a to prosta droga do stworzenia atrapy i powstania operacyjnego paraliżu. W sumie – do zafundowania sobie przez Unię zabawki drogiej i zupełnie nieprzydatnej. Nie pierwszej zresztą. Najbardziej ucieszyliby się przeciwnicy integracji, bo zyskaliby za jednym zamachem nowy straszak na eurosceptyków i argument o niereformowalności Unii.

Dowództwo i struktura

Ani wysoki przedstawiciel, ani tym bardziej przewodniczący KE nie będą oczywiście nadzorować tworzenia i bieżącego szkolenia jednostki czy dowodzić nią w akcji. Do tego potrzebny jest wojskowy profesjonalista. Można sobie wyobrazić, że byłby powoływany w drodze otwarte-

go konkursu albo przez cykl konsultacji ministrów obrony i szefów sztabów generalnych spośród czynnych lub rezerwowych oficerów armii państw członkowskich. Czy mógłby to być Ukrainiec, Norweg albo Brytyjczyk? Gdyby przemawiało za tym realne doświadczenie bojowe kandydata i inne kompetencje, wyszłoby zapewne na dobre zdolnościom bojowym legii, ale politycznie wydaje się trudne do zaakceptowania dla wielu, i to nawet dla osób przychylnych samej idei takiej formacji. Z drugiej strony – mało prawdopodobne, by kraje członkowskie „wydelegowały” do tej roli oficerów rzeczywiście najwybitniejszych. Dlatego z jakościowego punktu widzenia lepszy byłby pewnie pomysł, by pozwać się zgłaszać samym zainteresowanym – także emerytom, byle z możliwie krótką pauzą w służbie – i urządzić im realne porównanie kompetencji. Może przez niezależny komitet ekspertów? Tak, wiem. Piękne, ale skrajnie mało realne.

Kolejny dylemat dotyczy struktury ewentualnej Legii Europejskiej. Sikorski rzucił hasło „brygada”, ale z tego jeszcze niewiele wynika. Jeśli jednostka miała by zadania polegające na szybkiej interwencji w różnych konfliktach w obronie europejskich interesów, to w naturalny sposób musiałaby zawierać przede wszystkim batalionowe związki lekkiej i bardzo mobilnej piechoty, oczywiście zmechanizowanej, ale przynajmniej częściowo zdolnej do desantowania na spadochronach lub z okrętów. Pewnie także własną artylerię bezpośredniego wsparcia i drony, pododdziały saperów, łączności oraz sanitarne. To bezdyskusyjne minimum. Nieco poza nim plasuje się kwestia ewentualnego istnienia w legii pododdziałów pancernych.

A co z wywiadem i rozpoznaniem, wsparciem lotniczym i w razie potrzeby morskim oraz całą logistyką, w tym transportem na dłuższych dystansach? Tu odpowiedź narzuca się sama – legia musiałaby w tym zakresie korzystać z pomocy sił zbrojnych państw UE. Trudno sobie bowiem wyobrazić dublowanie tych zdolności wyłącznie na jej potrzeby. Równie trudno jednak zakładać, że takie wsparcie byłoby udzielane przymusowo i automatycznie na żądanie dowódcy Legii Europejskiej, a nawet przedstawiciela nadzorującej ją unijnej egzekutywy. Na szerokie konsultacje i negocjacje może zaś nie być czasu. Okazuje się więc, że do realnego działania formacji i tak będzie potrzebne albo uprzednie powstanie jakiejś „koalicji zdolnych i chętnych”, którzy zapewnią legionistom niezbędne zaplecze i wsparcie, albo przynajmniej zaproszenie od konkretnego rządu, który będzie pilnie potrzebował pomocy i postanowi udostępnić stosowne zasoby.

Może to choć trochę uspokoi tych, którzy dziś lękają się „okupacji” naszego kraju przez hipotetyczne „wojska europejskie” albo nawet ich interwencji na większą skalę w celu narzucania suwerennym władzom państwowym wraz z polityką brukselskiej. W razie czego te kilka czy nawet kilkanaście kompanii lekkiej piechoty pod szyldem Legii Europejskiej (bez własnych „tyłów”, lotnictwa i wywiadu) da się przecież nakryć czapkami garnizonowymi własnych, narodowych sił zbrojnych. A jeśli wrogą interwencję miałaby wesprzeć ktoś raś z ościennych armii europejskich,

to do niej i tak nie będzie potrzebna żadna legia.

Kogo werbować?

Według koncepcji Radosława Sikorskiego oficerami, podoficerami i żołnierzami Legii Europejskiej byłiby obywatele państw członkowskich i państw „należących do szerszej rodziny europejskiej”. To otwierałoby furtkę np. dla obywateli Zjednoczonego Królestwa czy Szwajcarii, ale także np. Mołdawii, może Armenii i Gruzji, a nawet Kanady. Pewnie dyskusyjne byłyby przypadki antyputinowskiego Rosjanina albo deklarującego przywiązanie do wartości europejskich Turka, a z pewnością obywatela Izraela. W każdym przypadku dotyczyłoby to pewnie przede wszystkim ludzi odchodzących legalnie z zawodowej służby wojskowej, z nabytym w niej stosownym doświadczeniem.

Autor pomysłu, jak wynika z jego własnych słów, liczy przede wszystkim na Ukraińców. To zrozumiałe – w perspektywie ewentualnego rozejmu lub pokoju na wschodzie trzeba się spodziewać demobilizacji sporej części ukraińskich sił zbrojnych, a gospodarka cywilna z różnych przyczyn zapewne nie wchłonie wszystkich odchodzących ze służby. Część z nich może już nie chcieć lub nie umieć się odnaleźć w roli innej niż żołnierska. Faktycznie lepiej byłoby więc wówczas stworzyć dla nich cywilizowaną i możliwą do kontrolowania alternatywę niż beczynn timer obserwować, jak szukają swej szansy jako kontraktorzy w formacjach prywatnych, czyli w międzynarodowym sektorze komercyjnych korporacji wojskowych (to jeszcze pół biedy) albo (co gorsza) jako bojówkarze różnorakich grup przestępczych lub organizacji terrorystycznych. A i takie scenariusze są niestety możliwe, gdy mówimy o ludziach, którym długotrwała i brutalna wojna wyłączyła część „cywilnych” wartości i skrupułów, a pokój przyniósł osobiste rozczarowania i frustracje. Historia uczy tego dobitnie.

Na marginesie warto odnotować, że werbunek musiałby się pewnie w wielu przypadkach opierać na uprzednich zmianach w wewnętrznym prawie wielu państw, a z całą pewnością na bardzo solidnym kontrwywiadowczym sprawdzaniu kandydatów. To dodatkowy kłopot i dodatkowe koszty, ale rzecz niezbędna. Można bowiem iść o zakład, że przynajmniej kilka ośrodków zewnętrznych wrogów Europie, na czele z Rosją, a także kilka wewnętrznych grup „antysystemowych” lub po prostu przestępczych dołoży starań, by zainstalować w legii swoich ludzi. W poszukiwaniu dogodnej przykryki dla ich działalności dywersyjnej lub szpiegowskiej, ale też po to, by w stosownym momencie użyć ich do dowolnej prowokacji. Całkiem nie da się tego ryzyka uniknąć, ale jednak należy próbować.

Przepustka do przyszłości

Istniejące analogie do innych legii mogą być mylące. Bodajże po raz pierwszy w historii rozmawiamy tu nie o formacji konkretnego państwa, podporządkowa-

nej jego interesom i dowolnie kształtowanym procedurom, ale o jednostce wojskowej mającej służyć nieco dziwnemu tworowi, stanowiącym zaawansowaną formę organizacji międzynarodowej. Niemniej pewne lekcje z cudzych doświadczeń warto odrobić. Na przykład kwestię motywacji – tak jak w przypadku francuskiej Legii Cudzoziemskiej powinna się ona opierać nie wyłącznie ani nawet nie przede wszystkim na gratyfikacji finansowej. Ważniejsze i bardziej użyteczne jest zbudowanie wysokiego poczucia prestiżu oraz zaoferowanie korzyści polegającej na ułatwionej integracji z zamożnym i bogatym społeczeństwem po zakończeniu służby.

To pierwsze buduje się latami jako etos profesjonalnej i skutecznej formacji. Francuska legia zaczęła świadomie tworzyć swą legendę już w pierwszych bojach o afrykańskie kolonie, kamieniem milowym była heroiczna obrona samotnej kompanii w meksykańskiej hacjendzie Camerone, prowadzona naprawdę „do ostatniego żołnierza”, a potem wiele bitew na różnych kontynentach. Tego nie da się zadekretować, ale na początek warto stworzyć właściwe warunki fachowe i organizacyjne do stopniowego wykształcania się dumy z bycia częścią czegoś naprawdę niezwykłego.

Drugi czynnik, który zaważył na atrakcyjności francuskiej formacji dla kandydatów, to zaoferowanie im nie tylko ucieczki przed problemami w życiu cywilnym, nawet tymi prawnymi, lecz przede wszystkim obywatelstwa po odpowiednim okresie służby. Dla życiowych rozbitków, weteranów armii pobitych w kolejnych wojnach, obywateli państw wymazywanych z mapy świata decyzją zwycięzców, a także pechowców urodzonych w mniej zamożnych i stabilnych częściach globu białe kepi legionisty było zawsze przepustką do lepszej przyszłości. Mundur żołnierza Legii Europejskiej też mógłby się nią stać.

Jest jednak jeden problem: jakie obywatelstwo miałby obiecywać? Wybranego państwa unijnego? Mało realne. Unii? Na razie nic takiego nie istnieje. Jest za to prawo stałego pobytu na terenie UE, a zwłaszcza pracy, robienia interesów i korzystania z pełni przywilejów społecznych. Byłoby niewątpliwie rzeczą zdrową, gdyby służba na rzecz Unii – połączona z gotowością przelania krwi w jej imieniu – była jedną z form zasłużenia sobie na te dobrodziejstwa, dostępnych dla obywateli państw.

I to, obok zintensyfikowania realistycznej debaty o unijnych zdolnościach w zakresie bezpieczeństwa, jest jednym z powodów, dla których nad koncepcją Legii Europejskiej warto pracować. Niezależnie od tego, czy lubimy jej autora i jakie motywacje mu przyświecały. ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po.Int, publicysta DGP

Netflix dla stalkerów

W USA narasta fala protestów przeciwko wszechobecnym kamerom do automatycznego rozpoznawania pojazdów

Emilia

Świętochowska

Można je spotkać przy drogach w każdym stanie poza Alaską. Policjanci twierdzą, że ułatwiają im tropienie przestępców, ale mieszkańcy widzą w nich narzędzie ślepej inwigilacji. To napędzane sztuczną inteligencją urządzenia, które fotografują samochody przejeżdżające w odległości 23 m, rozpoznając ich kolor, markę, model i typ nadwozia. Potrafią wychwytywać nawet takie szczegóły jak wgniecenia w karoserii, bagażniki rowerowe, naklejki na zderzaku czy logo Ubera. Dane z kamer są przesyłane do bazy w chmurze, którą można przeczesywać, sortując wyniki po cechach auta. Funkcjonariusz nie musi więc znać numeru rejestracyjnego, żeby zidentyfikować czarnego SUV-a, którego kierowca włamał się do sklepu albo uciekł z miejsca wypadku. Wystarczy, że wpisze do wyszukiwarki opis samochodu, lokalizację i przedział czasowy, a system wyświetli mu listę podejrzanych pojazdów. W miastach pod najściślejszą obserwacją policja jest w stanie precyzyjnie odtworzyć trasy milionów samochodów.

Firma Flock Safety, największy dostawca tego oprogramowania, w ostatnich kilku latach opłótła Amerykę siecią obejmującą 120 tys. kamer. Dzięki wsparciu czołowych inwestorów z Doliny Krzemowej i kontraktom ze służbami spółka wyrosła na potentata technologii nadzoru. Jest wyceniana na 8,4 mld dol. Mimo że koszt urządzeń, włączając w to montaż i abonament, może sięgnąć kilku milionów dolarów, na zakup zdecydowało się 7 tys. komisariatów policji, czyli 40 proc. jednostek w USA. Organy ścigania podkreślają, że system Flock pomaga im nie tylko odnajdować skradzione auta, lecz także prowadzić śledztwa dotyczące zabójstw, rozbojów i przemocy domowej. Ponieważ kamery są ze sobą połączone, szeryf z Teksasu może sprawdzić, czy poszukiwane przez niego auto pojawiło się w innym stanie, a następnie zaalarmować lokalne służby. Technologia ta umożliwiła m.in. szybkie namierzenie sprawcy ubiegłorocznej strzelaniny na Uniwersytecie Browna, w której zginęło dwóch studentów, a dziewięciu innych zostało rannych. Wskazała też kluczowe tropy w tysiącach spraw do-

tyczących uprowadzonych dzieci i zaginionych osób.

Bulwersujące, ale rzadkie

Flock Safety od miesiąca znajduje się pod ostrzałem z powodu mnożących się przypadków nadużywania jej technologii przez służby. Kamery reklamowane jako skuteczna metoda odstraszenia przestępców przy okazji posłużyły do dyskretnego szpiegowania. Komentator policji w miasteczku Braselton na przedmieściach Atlanty został zatrzymany pod zarzutem śledzenia i nękania swojej byłej dziewczyny oraz jej nastoletniej córki. Mężczyzna ponad 500 razy używał systemu do zlokalizowania ich samochodów. Funkcjonariusz z hrabstwa Haines na Florydzie trafił do aresztu po tym, jak się okazało, że 717 razy wyszukiwał numer rejestracyjny auta żony, z którą jest w separacji. Twierdził, że chciał się tylko upewnić, gdzie przebywają jego dzieci, gdy są pod opieką matki. W hrabstwie Bibb w Georgii trzech zastępców szeryfa usłyszało zarzuty stalkowania i naruszenia roty przysięgi. Wobec policjanta z Milwaukee, który prawie 180 razy sprawdzał w systemie samochód byłej partnerki, wszczęto postępowanie o przemoc domową. We wniosku o sądowy zakaz zbliżania się kobieta napisała, że żyje „w ciągłym strachu i napięciu”.

Z analizy policyjnych akt przeprowadzonej przez „Washington Post” wynika, że za bezprawne przeszukiwanie bazy Flock odpowie przed sądem co najmniej 50 przedstawicieli organów ścigania. Wiele innych spraw skończyło się na zwolnieniu z pracy lub dyscyplinarnie.

W większości przypadków szpiegowanie trwało miesiącami. Co prawda przy sprawdzaniu numeru rejestracyjnego stróż prawa musieli każdorazowo podać powód, ale w praktyce wymóg ten łatwo ominąć. Najczęściej w odpowiedniej rubryce wpisywali po prostu „śledztwo” albo „kontrola drogową”. Niektórzy robili sobie z tego kpiny. Funkcjonariusz jednego z komisariatów w Oregonie 20 razy wpisał jako powód „hehehe”. W reakcji na lawinę nieprawidłowości Flock Security tłumaczyła się, że z jej platformy miesiąc-



nie korzysta 140 tys. osób, a „nadużycia – choć niedopuszczalne i bulwersujące – należą do rzadkości”.

Wiele osób dowiedziało się, że padło ofiarą stalkingu, od dziennikarzy albo z serwisu Have I Been Flocked, oddolnej inicjatywy, która gromadzi dane o wyszukiwaniach w systemie ujawnione na podstawie przepisów o dostępie do informacji publicznej. Kierowcy mogą się z niego dowiedzieć, kto ich sprawdzał, kiedy oraz ile razy. Baza zawiera już dane o ponad 241 mln wyszukiwań, co nie oddaje rzeczywistej skali inwigilacji, bo wiele jednostek odmawia przekazywania informacji albo się z tym ociąga.

Śledzenie partnerek i partnerów to niejedyna kontrowersyjna praktyka. W maju 2025 r. pracownik biura szeryfa w hrabstwie Johnson w Teksasie przeświadczył bazę Flock, aby namierzyć kobietę, która samodzielnie usunęła ciążę. Służby utrzymywały, że podjęły działania po tym, jak zaniepokojona rodzi-

na zgłosiła zaginięcie. Lokalne prawo w praktyce dopuszcza aborcję wyłącznie w sytuacji zagrożenia życia, więc wiele pacjentek narażonych na poważne powikłania szuka pomocy medycznej w innych stanach. Funkcjonariusz przekopał się przez dane z kamer zainstalowanych nie tylko w Teksasie, lecz także w Waszyngtonie i Illinois, gdzie przerywanie ciąży jest legalne. Ten ostatni stan w 2023 r. uchwalił nawet przepisy zakazujące przekazywania numerów rejestracyjnych na potrzeby postępowań dotyczących aborcji i deportacji. Podobne regulacje obowiązują m.in. w Kalifornii, Connecticut i Massachusetts. W systemie nie było jednak mechanizmów skutecznie blokujących dostęp do wrażliwych danych funkcjonariuszom z innych jurysdykcji.

Największe oburzenie wywołało wykorzystywanie kamer Flock do polowań na imigrantów. Wprawdzie agenci ICE sami nie mogą przeszukiwać platformy, ale tysiące razy uzyskiwali z niej dane

Za bezprawne przeszukiwanie bazy Flock odpowie przed sądem co najmniej 50 przedstawicieli organów ścigania. Wiele innych spraw skończyło się na zwolnieniu z pracy lub dyscyplinarnie



Kamery monitoringu firmy Flock Safety na nadmorskiej promenadzie. Bethany Beach w stanie Delaware

two można wykorzystać błędy w zabezpieczeniach sprzętu, żeby oglądać obraz na żywo lub pobrać archiwalne nagrania. Jordan nazwał to „Netfliksem dla stalkersów”.

Opór coraz częściej przybiera destrukcyjne formy. W miasteczku Winona w Minnesocie ktoś odpiłował metalowe maszty z kamerami, porzucając gołe słupy w przydrożnych zaroślach. W kalifornijskim Oakland wandale oblali urządzenie fioletową farbą, a w Irmie, w Karolinie Południowej opryskali je pianką montażową. Mieszkaniec Suffolk w Wirginii zdemontował kilkanaście kamer przy użyciu szczypiec zaciskowych, zaś 20-latek z Pocatello w Idaho staranował dwa maszty ciężarówką. Najbardziej pomyślowy – i pokojowy – sposób na wyrażenie sprzeciwu zademonstrował 77-letni Carl Gunn z Tampa Bay na Florydzie. Mężczyzna przesiaduje na wędkarskim krześle i zasłania obiektyw kamery trzymanym na prawie czterometrowym kijku transparentem z napisem „Down With Flock Cameras” (Precz z kamerami Flock).

Mapa sprzeciwu

Opozycja wobec niekontrolowanej inwigilacji to kolejna odsłona buntu przeciwko rosnącej roli zaawansowanych technologii w gospodarce i życiu Amerykanów. Od Dakoty Północnej po New Jersey mieszkańcy pikietują pod ratuszami, aby powstrzymać budowę centrów danych zasilających rewolucję AI. Lokalne społeczności obawiają się, że za megainwestycje spółek z Doliny Krzemowej przyjdzie im zapłacić szybkimi cenami prądu, przeciążeniem sieci energetycznej, niedoborami wody i natrętnym hałasem. O sile tej oddolnej mobilizacji świadczy to, że tylko w I kw. 2026 r. zablokowanych lub zawieszonych zostało przynajmniej 75 projektów o wartości 130 mld dol.

W obu rewoltach doszło do egzotycznych sojuszy między środowiskami lewicy i prawicy, choć ich sprzeciw ma różne źródła. Liberalowie i tradycyjni konserwatyści postrzegają technologię Flock jako nadmierną ingerencję rządu w sferę prywatną. Progresywnych wyborców niepokoi to, że narzędzia nadzoru najmocniej uderzają w grupy marginalizowane. Twardzi zwolennicy MAGA weszła w niej zaś spisek lewicowych radykałów. Ultrakonserwatywny komentator Tucker Carlson poświęcił szpiegującym kamerom cały odcinek swojego podcastu, w którym zasugerował, że są one częścią „największej w historii operacji masowej inwigilacji” i zwiastunem „państwa niewolniczego”. – Gdybyś całkowicie zrezygnował z prywatności, co dostałbyś w zamian? Bezpieczeństwo. (...) Problem w tym, że to nigdy tak nie działało, bo bezpie-

czeństwo nigdy nie było priorytetem tej klasy panującej – powiedział Carlson.

Kosmetyczne zmiany

Lawina nadużyć skłoniła Flock Security do wprowadzenia zmian mających zminimalizować ingerencję w prywatność oraz zwiększyć kontrolę nad korzystaniem z platformy przez służby. Od 1 stycznia 2027 r. okres przechowywania danych z kamer zostanie skrócony z 30 do 7 dni (chyba że stanowią one dowód w postępowaniu karnym). Żeby wyszukać numer rejestracyjny, trzeba będzie podać sygnaturę sprawy, a funkcjonariusze, którzy będą próbować obejść procedury, stracą dostęp do platformy do czasu zakończenia wewnętrznego dochodzenia. Organy ścigania będą też mogły zdecydować, do jakich danych dopuścić kolegów z innych stanów. Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich (ACLU) oceniła te zmiany jako „krok we właściwym kierunku”, ale niewystarczający. „Te zapowiedzi pokazują, że Flock wciąż jest bardziej skoncentrowana na rozwiązaniu problemu wizerunkowego niż na ograniczeniu poważnych szkód, które powodują jej produkty” – napisał Chad Marlow, prawnik ACLU. System wciąż będzie mieć luki – funkcjonariusze mogą np. wpisywać fikcyjne sygnatury spraw i liczyć na to, że nikt się nie zorientuje.

Prezes spółki Garrett Langley uspokajał w rozmowie z „Newsweekiem”, że jego „ostatecznym celem nie jest dystopijna przyszłość oparta na powszechnym nadzorze, lecz świat, w którym wszyscy czujemy się bezpiecznie”. Przy okazji pochwalił się, że w lipcu kamery Flock pomogły namierzyć ponad 1 tys. zaginionych osób i 20 tys. skradzionych samochodów. Według analiz firmy w 2025 r. jej technologia przyczyniła się do zatrzymania sprawców 700 tys. przestępstw (to ok. 10 proc. wszystkich zgłoszonych spraw).

Rzecz w tym, że nie ma wielu badań, które weryfikowałyby jej skuteczność. Dane z Atlanty, uchodzącej za najbardziej monitorowane miasto w USA, podają w wątpliwość tezę, że szpiegujące kamery zwiększają bezpieczeństwo na ulicach. W latach 2021–2025, gdy system nadzoru gwałtownie się rozrastał, policja wcale nie zaczęła osiągać lepszych wyników w walce z poważną przestępczością. Najgorzej prezentują się statystyki dotyczące zabójstw: o ile w 2021 r. wykrywano 53,4 proc. sprawców, o tyle cztery lata później – 48 proc. Statystyki wykrywalności w przypadku rozbójów, gwałtów i ciężkich napaści prawie nie drgnęły. Jedyne kategorie, w których odnotowano nieznaczną poprawę, to kradzieże z włamaniem (z 10,7 proc. do 11,6 proc.) i kradzieże samochodów (z 9,9 proc. do 10,2 proc.). Obrońcy Flocka przekonują jednak, że kluczowe jest co innego: zaawansowane technologie nadzoru mogą odstraszać od popełniania przestępstw, a tym samym odciążać wymiar sprawiedliwości. A jeśli przypadkiem kamery zrobią zdjęcia twojego samochodu, to co z tego? Przecież jeszcze bardziej inwazyjny monitoring nosimy w kieszeniach. ©

dzięki uprzejmości lokalnych służb, nie zawsze nieświadomych, że przykładają rękę do deportacji. Zdarzało się też, że policjanci z konserwatywnych rejonów USA w imieniu ICE przeczesywali zapisy z kamer znajdujących się na terenie liberalnych stanów. Gdy sprawa wyszła na jaw, pod presją mieszkańców rady kilkudziesięciu miast zerwały kontrakty z Flock. Z powodu braku odpowiednich zabezpieczeń policja w Los Angeles i Dayton bezterminowo wyłączyła urządzenia. W tym drugim mieście służby na wszelki wypadek owinęły je jeszcze czarnymi workami na śmieci.

Precz z kamerami

Nie chodzi tu jedynie o odmowę udziału w operacji antyimigracyjnej Donalda Trumpa. Organizacje zajmujące się ochroną praw obywatelskich zwracają uwagę, że technologia Flock stwarza bezprecedensowe zagrożenie dla prywatności wszystkich Amerykanów. Służby mogą wykorzystywać platformę do monitorowania życia codziennego: ludzi jadących do kościoła lub placówki medycznej, w drodze do klubu nocnego, na manifestację polityczną lub w inne miejsca, których odwiedzanie zdradza wrażliwe informacje na temat obserwowanego człowieka.

Możliwość śledzenia każdego kierowcy kłóci się z zakorzenionym

w amerykańskim społeczeństwie kultem samochodu – osobistej przestrzeni i symbolu niezależności. „Wiele osób traktuje auto jak przedłużenie własnego domu” – stwierdził w CNN Dave Maass z Electronic Frontier Foundation.

„Podstawowy problem polega na tym, że takie systemy dają dostęp do prywatnych informacji o przemieszczaniu się ludzi każdemu funkcjonariuszowi. Bez konstytucyjnej gwarancji w postaci obowiązku uzyskania nakazu sądowego siłą rzeczy otwiera to drogę do nadużyć” – podsumował w raporcie Michael Soyfer, prawnik z organizacji Institute for Justice. W 2025 r. jej organizacja złożyła pozew w imieniu mieszkańców Norfolk w Wirginii, przekonując, że korzystanie ze szpiegujących kamer bez żadnego nadzoru stanowi naruszenie czwartej poprawki do konstytucji, która chroni obywateli przed nieuzasadnionym przeszukiwaniem i zajęciem mienia. Sąd I instancji nie podzielił tych argumentów, ale apelacja już czeka na rozpatrzenie.

W miastach, których władze nie rozwiązały umów z Flock Security, wyborcy wzięli sprawy w swoje ręce. Grupa aktywistów działających pod szyldem DeFlock stworzyła przy wsparciu mieszkańców mapę kamer, na której można wyznaczyć trasę omijającą monitoring. Hitem na YouTube są filmiki Benna Jordana, który pokazuje, jak ła-

FOT. AL DRAGO/BETTY IMAGES

To zły Oman jest

Donald Trump grożący zbombardowaniem kolejnego bliskowschodniego państwa to rutynowy news z Białego Domu

Mariusz

Janik

Zapytałem prezydenta o równoległe toczące się rozmowy między Iranem a Omanem, dotyczące kontroli nad cieśniną Ormuz – relacjonował na antenie stacji Fox News jej reporter Trey Yingst. – Powiedział: jeśli Oman stanie nam na drodze, zbombardujemy go (w oryginale bardziej specyficznie dla Trumpa: „We’ll bomb the shit out of them”) – opisywał.

Pytanie i odpowiedź dotyczyły negocjacji Teheranu i Muskatu, których przedmiotem jest jakoby kontrola ujścia Ormuzu: wody terytorialne Omanu zaczynają się tuż za wąskim gardłem cieśniny, liczącym ok. 54 km szerokości (z czego tor wodny dostępny dla tankowców liczy sobie zaledwie kilka), gdzie Zatoka Perska przechodzi w Zatokę Omańską. Choć rozmowy interpretowano jako próbę okiełznania wojowniczości irańskiego reżimu, komentarz Trumpa wydaje się temu przeczyć. Waszyngton najwyraźniej chce zmusić Teheran do uległości, z kolei Irańczycy próbują wymusić na Amerykanach przestrzeganie porozumienia zawartego w czerwcu.

Trump groził Omanowi zresztą już kilka miesięcy temu i tamte pogrożki spłynęły po Omańczykach jak woda po kaczce. Tym razem było zresztą podobnie: to Irańczycy w odpowiedzi ostrzelali przemierzający cieśninę tankowiec. Trump – który zaledwie kilkadziesiąt godzin wcześniej oznajmił, że toczą się nieformalne rozmowy z irańskim Korpusem Strażników Rewolucji – zapostował: „Nie toczą się żadne negocjacje czy rozmowy ani nie są planowane z Islamską Republiką Iranu. Morska blokada pozostaje w mocy. Cieśnina Ormuz jest otwarta i działa. Wszystkie miny zostały usunięte lub zdetonowane”. Okazję do riposty podchwycił też wiceszef irańskiego MSZ Kazem Gharibabadi. „Podobnie jak Trump wreszcie poprawnie napisał nazwę wieczystej Zatoki Perskiej, tak i skoryguje swoje urojenia dotyczące cieśniny Ormuz, albo też my je skorygujemy” – napisał na swoim profilu Irańczyk.

Co charakterystyczne, władze państw Zatoki, z Omanem na czele, po groźbie Trumpa zachowały milczenie: stacja CNN, która poprosiła władze w Muskacie o komentarz, nic nie uzyskała. Wyławniejsi są eksperci. – Być może Trump nie chciał, by brano go dosłownie, a bardziej liczył na zwrócenie uwagi Omańczyków, co na pewno mu się udało – skwitował z cierpką nutą były ambasador

USA w Omanie Marc J. Sievers. – Frustracja Trumpa wynika w dużej mierze z faktu, że Muskat prowadzi niezależną politykę wobec Iranu, która nie zawsze jest zgodna z celami USA – tłumaczył z kolei Hasan Alhasan, ekspert londyńskiego International Institute for Strategic Studies. – O ironio, to właśnie pozwala Muskatowi odgrywać rolę mediatora, na którym Waszyngton często polega przy próbach nawiązania kontaktu z Teheranem – dodał.

Omańscy komentatorzy mówią zaś to, czego władzom nie przystoi. – Mądrzy przywódcy Ameryki doskonale wiedzą, że to dzięki wysiłkom Omanu uwolniono wielu zatrzymanych w Iranie obywateli amerykańskich, że to dzięki nam przekonano Hutich w Jemenie do zaprzestania ostrzału amerykańskich okrętów wojennych i że to Oman jest kluczem do rozwiązania kryzysu w cieśninie Ormuz – napisał na X omański politolog i pisarz Zakaria Al-Muharri. Pomógł w tym osobiście sułtan, wyjątkowo sięgając do swojego portfela:

I choć wpływ Omanu na notowania republikanów w USA może być przesadzony, to jego znaczenia dla rozgrywania rozmaitych konfliktów na Bliskim Wschodzie nie sposób lekceważyć. Po cichu Oman stał się dyplomatyczną potęgą, która może być skuteczniejsza od innych potencjalnych mediatorów – Pakistanczyków, Turków czy Katarczyków.

Biedny mediator

„Geograficzne usytuowanie Omanu na rubieżach świata arabskiego, w sąsiedztwie cieśniny Ormuz; jego dobre relacje zarówno z Arabią Saudyjską, jak i Iranem; zróżnicowana populacja – ze znaczącymi mniejszościami Beludżów, Południowych Azjatów i Afrykanów; wyznawanie ibadytyzmu przez wielu mieszkańców (ok. 75 proc. populacji należy do tego trzeciego obok sunizmu i szyizmu odłamu islamu – red.) – wszystko to przyczynia się do budowania roli mediatora” – pisze Juan Cole, jeden ze współautorów książki „Sultan Qabus and Modern Oman 1970–2020”.

Jak zaznacza, tylko w drugiej dekadzie XXI w. Oman odegrał rolę mediatora w trzech dużych kryzysach, jakie wstrząsnęły Bliskim Wschodem. „Zaliczają się do nich stosunki USA z Iranem, wojna toczona przez Arabię Saudyjską

i Emiraty w Jemenie oraz konflikt między Katarzem a państwami Zatoki Perskiej, który zaczął się w 2017 r.” – wylicza ekspert. „W każdym przypadku Oman oferował neutralny grunt, na którym mogli się spotykać przedstawiciele skonfliktowanych stron, oraz pośredniczył w przekazywaniu rozmaitych propozycji między stronami” – dorzuca.

A trzeba tu dodać, że dla władz w Muskacie nie była to pierwszyna: sułtan Kabus ibn Sa’id włożył w swoim czasie wiele pracy w to, by utorować drogę do porozumień pokojowych kończących wojnę Iraku z Iranem w latach 80., a także przyczynił się nieco do porozumień z Oslo między Izraelem a Palestyńczykami. Ale chyba największym jego sukcesem był Joint Comprehensive Plan of Action – porozumienie nuklearne Waszyngtonu z Teheranem, które zawarł prezydent USA Barack Obama oraz irański prezydent Hasan Rohani (według międzynarodowych organizacji monitorujących jego wykonanie – przestrzegane aż do momentu, gdy zerwał je Donald Trump podczas swojej pierwszej kadencji).

Nieco wcześniej Oman pomógł uzyskać zwolnienie trzech amerykańskich wspinaczy, których Irańczycy zatrzymali w irańskim Kurdystanie – i to do nich pije w swoich komentarzach Al-Muharri. Pomógł w tym osobiście sułtan, wyjątkowo sięgając do swojego portfela:

Prezydent USA Donald Trump wściekł się na Oman za negocjacje z Iranem w sprawie przyszłości cieśniny Ormuz

Irańczycy rzekomo żądali 450 tys. dol. swoistego okupu za każdego z zatrzymanych. Jako że obowiązujące wówczas sankcje zabraniały dokonywania jakichkolwiek przelewów, które miałyby trafić do Iranu, sułtan uiścił ową opłatę własnymi pieniędzmi. A przy okazji – według wspomnień ówczesnego sekretarza stanu USA Johna Kerry’ego – otworzono drzwi do irańsko-amerykańskich rozmów dotyczących programu nuklearnego.

W Jemenie dyplomaci z Muskatu negocjowali stosunkowo humanitarne – jak na warunki, w których rozgrywa się ten konflikt – traktowanie jeńców wojennych, zawiedli natomiast, jeśli chodzi o usadzenie stron konfliktu przy jednym stole negocjacyjnym. Zaważyła na tym najprawdopodobniej sytuacja polityczna: Oman sąsiaduje od południa z Jemenem i fala radykalizmu zaczęła grozić przełaniem się przez granicę. Najmniej jasna jest rola Omanu w wyprowadzaniu Kataru z regionalnej izolacji po 2017 r.: Cole w tym przypadku spekuluje, że dzięki Omańczykom spory o regionalną dominację nie przerodziły się w gorący konflikt, wykraczający poza dyplomatyczne salony.

Kraje uchodzące w stosunkach międzynarodowych za skutecznych mediatorów mają z reguły dwa atuty: sejf i arsenał; co oznacza, że mogą skonfliktowane strony zjednać dobrą ofertą finansową – obietnicami inwestycyjnymi Arabia Saudyjska zażegnała konflikt w Libanie w 1989 r., podobnie działa Szwajcaria czy Norwegia, albo pogrozić im własnymi rakietami, jak potrafią to robić Amerykanie. Omanu na takie warianty nie stać. Tu mowa raczej o mediacjach pasywnych.



ZATOKA PERSKA

nych: taki pośrednik nie dominuje ani niczego nie przygotowuje – idzie za inicjatywami podejmowanymi przez strony, aranżuje okoliczności sprzyjające rozmowom, ale ich nie inicjuje. Muskat oferował przez wiele lat ustronne miejsce, w którym trudno było nawet o turystów (co akurat w ostatnich latach się zmieniło) i gdzie przedstawiciele zwaśnionych stron mogli się spotkać bez przyciągania zbędnej uwagi i wydawania oficjalnych komunikatów.

Dyskretny sułtan

„Przyjaciół wszystkich, nieczyj wróg” – ta dewiza Kabusa stała się wyznacznikiem polityki Omanu po zamachu stanu, który wyniósł go do władzy. W przeciwieństwie do Turcji, której politykę zagraniczną definiowała podobnie brzmiąca reguła „żadnych konfliktów z sąsiadami”, a ostatecznie bywało z tym różnie, Kabus egzekwował tę zasadę z żelazną konsekwencją. Według ekspertów nie sposób oddzielić tej dewizy i jej rygorystycznego przestrzegania od samej osoby sułtana.

Oman jak wiele państw wschodniego Bliskiego Wschodu jest w zasadzie tworem epoki powojennej. Co prawda Omańczycy wygonili ze swojego kraju Portugalczyków w połowie XVII w., ale w sumie lądowali potem pod „opieką” osmańską i brytyjską jako zlepek kilku sąsiadujących ze sobą regionów, z dominującą rolą Muskatu – i tak zostało aż do 1970 r. „Co łączy Oman i stary ZSRR? Oba kraje mają nieprzewidywalną przeszłość” – notował lokalny żarcik John Be-

asant, historyk zaproszony przez władze w Muskacie do spisania historii kraju. Jeszcze ojciec Kabusa, sułtan Sa'id ibn Tajmur, toczył batalie z rywalami z innych regionów o pozostanie przy władzy, nie wspominając już o sponsorowanej przez Moskwę i Pekin rebelii komunistycznej, która wybuchła w kraju w 1962 r. Syna odesłał wtedy zresztą daleko od ojczyzny – najpierw do Indii, a potem do Wielkiej Brytanii, gdzie Kabus skończył prestiżową uczelnię wojskową w Sandhurst.

Po powrocie Kabus wylądował w czymś na kształt aresztu domowego: zamknięty w towarzystwie innych synów dworskich dygnitarzy, w zasadzie nie wiedział, co dzieje się poza murami pałacu. Za to zaprzyjaźnieni już z nim Brytyjczycy nie próżnowali: obserwując, jak nieudolnie Sa'id ibn Tajmur radzi sobie z rządem, a zwłaszcza z ową komunistyczną rebelią, postawili na syna. 23 lipca 1970 r. zatwierdzony przez premiera Harolda Wilsona przewrót (w zasadzie pałacowy, bezkrwawy) wyniósł do władzy Kabusa, zaś jego ojciec udał się na „dobrowolne (i dożywotnie) wygnanie” do londyńskiego Dorchester Hotel. O zmianie warty Omańczycy dowiedzieli się trzy dni później, kiedy abdykacja została oficjalnie ogłoszona.

Nowy sułtan wyraźnie różnił się stylem od poprzednika. Część politycznych przeciwników została objęta amnestią, rebelię na południu zajęli się Brytyjczycy, a wkrótce później również oddziały przesłane przez szacha Iranu i króla Jordanii – walki trwały do 1976 r., ale Oman ocalał jednością, w przeciwieństwie do sąsiedniego Jemenu. Kabus nie wklepał się w regionalne spory ani nie zafundował rodakom

skoku w luksus – tu nie było takich ilości ropy czy gazu, które pozwalałyby na brewerie. Sam władca funkcjonował jakby w cieniu, rzadko pokazując się publicznie.

Nie ma się czemu dziwić. W 1979 r. bezdziennie rozpadło się jego zaaranżowane małżeństwo, a Omańczycy dyskretnie zaczęli plotkować o częstej obecności w pałacu przyjaciela sułtana z Sandhurst, sir Timothy'ego Landona. Landon – z czasem jeden z najbogatszych ludzi na Wyspach – był w Omanie, kiedy doszło do pałacowego zamachu stanu, i potem, gdy zwalczano komunistyczną rebelię, a sułtanat rozbudowywał armię. Od lat 80. Landon służył jako półformalny doradca i emisariusz Omanu: a to przesmuglował do sułtanatu armaty Boforsa, a to utorował drogę do kontraktu na myśliwce. I pełnił tę rolę aż do śmierci w 2007 r., choć jego prywatny związek z Kabusem był już wtedy bardziej przyjaźnią niż romansem.

Z tej perspektywy dyskretna wydaje się oczywista: Kabus nie chciał prowokować Omańczyków swoją orientacją, nawet biorąc pod uwagę, że jego rodacy są stosunkowo liberalni w porównaniu z innymi społeczeństwami arabskimi. Prawdopodobnie od czasu do czasu musiał się mierzyć z wewnętrznymi rywalami do tronu, więc ostentacyjne „męskie przyjaźnie”, nadmiar nagromadzonego bogactwa czy zbyt twarda pięść dostarczałyby tylko argumentów i popularności jego adwersarzom. Efekt? Kabus utrzymał tron przez pół wieku, aż do śmierci w 2020 r. Tronem nie zatrzęsała nawet arabska wiosna, demonstracje przeciwników władzy były stosunkowo mikre, choć nie brakowało co bardziej dramatycznych momentów. I choć niektórzy eksperci od spraw bliskowschodnich nazywali omańską monarchię „ostatnią w stylu osmańskim”, można też uznać, że Kabus stworzył model monarchii, która nikomu nie przeszkadza.

Karty w rękawie

Kabus mógł odsunąć ojca od władzy, ale to nie znaczy, że zerwał rodzinne więzy. Jego wuj Tarik ibn Tajmur był pierwszym premierem sułtanatu za rządów Kabusa (w latach 1970–1972), a syn tegoż wuja – Hajsam ibn Tarik Al Sa'id – został następcą Kabusa. Podobno ten wskazał kuzyna w testamencie wiele lat temu. Sukcesja została zatem przygotowana starannie, a Hajsam od lat 80. pojawiał się w coraz bardziej eksponowanych rolach w kolejnych gabinetach rządowych.

I najwyraźniej wyznaje zasadę, że lepsze jest wrogiem tego, co dobre – bo słowem, które najlepiej oddaje charakter jego kilkuletnich rządów, jest „kontynuacja”. A pod pewnymi względami Hajsam idzie nawet dalej. – Sułtan obciął bonusy dla administracji rządowej, zmniejszył rozbuchane świadczenia i zredukował szereg innych niepotrzebnych wydatków, co się przekłada na mniejsze obciążenie budżetu państwa – skwitował w rozmowie z portalem Gulf News anonimowy omański urzędnik, podsumowując obchody dwulecia objęcia przez Hajsam tronu. – Nawet oświecenie na święta narodowe jest skromniejsze. Zmniejszono też liczbę rządowych aut, oficjalnych podróży zagranicznych na konferencje i warsztaty. Teraz mądrze oszczędza się

pieniądze i zaczynamy wkraczać na właściwą ścieżkę – wyliczał.

No właśnie. O ile Kabus żył – jak na bliskowschodniego monarchę – skromnie, a Muskat wciąż bardziej przypomina metropolię arabskie z „Baśni tysiąca i jednej nocy” niż futurystyczny krajobraz Dubaju czy Dohy, to budżety, deficyty i wskaźniki PKB miały dla niego raczej drugorzędne znaczenie. W 1970 r. Kabus wzywał brytyjskich specjalistów, by oszacowali stan finansów państwa, a potem postawił na lokalny przemysł naftowy. I choć to skromna branża w porównaniu z innymi regionalnymi potentatami, to 70 proc. omańskiego budżetu przez lata pochodziło z tego źródła. Co miało swoje konsekwencje: wzrost gospodarczy mocno spadł pod koniec rządów, a pandemia koronawirusa jeszcze bardziej go dobiła – wyjąwszy sektor naftowy, który podtrzymywał publiczne finanse, reszta gospodarki praktycznie się skurczyła. Budżetówka pochłaniała czwartą część wydatków państwa.

Hajsam zaczął więc od bolesnych cięć: spora grupa urzędników wylądowała na wcześniejszych emeryturach, a ich następcy zarabiają mniej. Poznikwały subsydia, podróżowały podstawowe media, jak woda i prąd. Od 2021 r. pojawiła się w kraju nowa danina: VAT, stosunkowo rzadkie zjawisko w krajach regionu. Z drugiej jednak strony Oman postanowił wykorzystać to, że przeciętny zachodni turysta nigdy nie słyszał o tym kraju – i zaprezentować się, skądinąd słusznie, jako oaza spokoju na Bliskim Wschodzie, a w realiach takich jak te z ostatnich kilku miesięcy wręcz alternatywa dla Dubaju, Dohy czy Kataru. Liczba turystów odwiedzających co roku Oman dobija zwykle do poziomu 4 mln, czyli o milion więcej w porównaniu do poprzedniej dekady.

„Saudyjczycy i Emiraty to w regionie zawodnicy wagi ciężkiej, ze znacznie głębszymi kieszeniami i potężniejszymi armiami. Za to Oman zawsze wiedział, jak wykorzystać swoją neutralność, a nowy szef jest pod tym względem równie sprawny, jak jego poprzednik” – zawyrokował swego czasu tygodnik „The Economist”, opisując rządzącego sułtana (okazją był fakt, że Hajsam doprowadził do uwolnienia Brytyjek aresztowanych przez Irańczyków, podobnie jak zrobił to jego poprzednik w przypadku amerykańskich wspinaczy). Ale też można zakładać, że Hajsam okaże się ciut bardziej asertywny niż Kabus, co oznacza, że jego dobre stosunki z Teheranem mogą być bardziej widoczne – zwłaszcza z perspektywy Białego Domu – a deficyt finansów publicznych najłatwiej byłoby zasypać jakimś dopływem gotówki, np. z systemu kontroli cieśniny Ormuz. Wszak skoro Egipt kontroluje i wyciąga korzyści z Kanału Sueskiego, czemu nie mieliby tego robić Omańczycy do spółki z Irańczykami? Oczywiście, nic na siłę, zapewne pogroźki Trumpa mają zniechęcać zwolenników takiej koncepcji. Ale Omańczycy mają swoje karty w rękawie i mogą nas (a najbardziej Waszyngton) jeszcze zaskoczyć. ©©



FOT. ALI SAEEDI/GETTY IMAGES



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

Żółta kartka dla Stanów Zjednoczonych

Władze państw Bliskiego Wschodu powiązanych z Waszyngtonem porozumieniami szeroko otworzyły oczy ze zdumienia, gdy zobaczyły, że ten parasol obronny jest bardzo dziurawy. Jeśli w ogóle istnieje

Z Krzysztofem

Płomińskim

rozmawia Wojciech Kubik

Trzy muzułmańskie kraje – Arabia Saudyjska, Turcja i Pakistan – zawiązały sojusz obronny, deklarując wzajemne wsparcie w razie ataku na którekolwiek z nich. Czy w realiach wiecznie niespokojnego Bliskiego Wschodu to nowość? Pomysł tego sojuszu należy ocenić przez pryzmat sytuacji, jaka na Bliskim Wschodzie trwa od dekad – czyli braku struktur bezpieczeństwa mogących zagwarantować stabilizację i zabezpieczyć podstawowe interesy poszczególnych państw. O tym, że taki pakt jest potrzebny, wiadomo od dawna, prezydent USA Donald Trump podczas pierwszej kadencji wysunął nawet propozycję stworzenia arabskiego NATO, które byłoby odpowiedzialną na regionalne wyzwania, a jednocześnie umożliwiłoby Stanom przesunięcie sił z Bliskiego Wschodu w kierunku największego rywala, czyli Chin.

Dlaczego w takim razie wtedy Trumpowi się nie udało, a plan zrealizowano dopiero teraz, w trakcie wojny USA i Izraela z Iranem? Wtedy amerykańskie wysiłki rozbiły się m.in. o politykę wobec Palestyńczyków. W 2020 r. Trump ogłosił plan dla Palestyny, który zakładał wprowadzenie rozwiązania dwupaństwowego, ale pod realną kontrolą Izraela. Duża część społeczności arabskiej odrzuciła projekt. Porozumieniu w regionie nie pomagał też sam Tel Awiw, którego władze promują ideę Wielkiego Izraela. A to oznacza sięgnięcie po terytoria sąsiednich państw. Aneksje te już w 2019 r. zapowiadał premier

Benjamin Netanjahu. W rezultacie amerykański projekt arabskiego NATO upadł, a teraz wrócił, ale w nieco innej odsłonie, gdyż w ostatnim czasie w sytuacji regionalnej zaszły bardzo istotne zmiany.

Co takiego? Władze państw powiązanych z Waszyngtonem porozumieniami, liczące przez prawie 50 lat na szczelność amerykańskiego parasola bezpieczeństwa, szeroko otworzyły oczy ze zdumienia, gdy zobaczyły, że ten parasol jest bardzo dziurawy. Jeśli w ogóle istnieje. Stany Zjednoczone przestały być dla nich także wiarygodnym partnerem, m.in. dlatego, że podejmując wojnę z Iranem, nie skonsultowały się z sojusznikami, nie posłuchały też głosów, że zaczynają awanturę, z której nie ma dobrego wyjścia.

Czyli nie tylko nieporadność USA, lecz także polityka Izraela skłoniła te trzy państwa do współpracy? Niewątpliwie w grę wchodzi kwestia podszeptów premiera Netanjahu, który kolejny raz przekonał Waszyngton do ataku na państwo muzułmańskie, tym razem na Iran. To taktyka zastosowana przez niego od lat. W 2002 r. przekonywał Kongres, że USA powinny zaatakować Irak, bo rzekomo Saddam Husajn pracuje na bronią jądrową. Teraz Netanjahu powtórzył

Dubajski port Jebel Ali płonie po ataku irańskich dronów, 1 marca 2026 r.

ten schemat i to on de facto sprawił, że atakując Iran, Stany Zjednoczone wpadły na minę. Ta wojna doprowadziła w rezultacie do degradacji pozycji Ameryki i podważenia jej wiarygodności jako gwaranta bezpieczeństwa. Przez lata Arabia Saudyjska gotowa była do normalizacji stosunków z Izraelem, lecz nie kosztem własnych interesów. Państwa muzułmańskie czują zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa, bo jeśli popatrzeć na mapę Wielkiego Izraela, to w jego granicach znajduje się jedna trzecia Królestwa Saudów.

W jaki zatem sposób USA mogą się odnaleźć w tej nowej sytuacji? To, co teraz się dzieje, pokazuje, że USA utraciły sporo ze swojej siły oddziaływania na Bliskim Wschodzie. I nowych rozwiązań szuka się w zasadzie od czerwca ubiegłego roku, kiedy Izrael i USA po raz pierwszy wspólnie zaatakowały Iran – tu warto przypomnieć spotkanie szefów dyplomacji Arabii Saudyjskiej, Turcji, Pakistanu i Egiptu w Karaczi, podczas którego była omawiana współpraca w dziedzinie bezpieczeństwa. Trzy

Państwa muzułmańskie czują zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa, bo jeśli popatrzeć na mapę Wielkiego Izraela, to w jego granicach znajduje się jedna trzecia Królestwa Saudów

kraje, które teraz podpisały pakt bezpieczeństwa, od pewnego czasu już dość głęboko ze sobą współpracują, a bardzo bliskie, dwustronne stosunki łączą Arabię Saudyjską i Pakistan. Oba kraje od 2025 r. łączą dwustronny, strategiczny pakt obronny i m.in. na jego mocy na terenie Królestwa stacjonuje 13 tys. żołnierzy pakistańskich.

Czy ostrze tego sojuszu może być wymierzone w Iran, który od pięciu miesięcy atakuje amerykańskie bazy wojskowe m.in. na terenie Arabii Saudyjskiej? Iran nie jest jedynym zagrożeniem bezpieczeństwa w regionie. W przypadku Arabii Saudyjskiej zagrożenia nadchodzą również z Iraku, w którym w dalszym ciągu działają proirańskie milicje. Jeszcze większym zagrożeniem jest Jemen i proirańscy partyzanci Huti, z którymi Arabia walczy od lat. Nad tym wszystkim wisi również problem uregulowania kwestii palestyńskiej. Jeśli do tego paktu przyłączy się Egipt oraz być może kilka innych państw, to będzie oznaczało, że kwestia palestyńska pozostaje otwarta jako problem istotny dla całego regionu. Prawdopodobnie nie jest to ostatnia umowa obronna, jaka zostanie podpisana w regionie. Otwartą sprawą jest, w jakim kierunku pójdą działania Izraela. Trzeba bowiem pamiętać, że on też buduje swoje powiązania w ramach porozumień Abrahamskich z 2020 r. z Bahrajnem i ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. A ZEA i Arabia walczą o przywództwo w regionie Zatoki Perskiej.

A jaką rolę w budowie porozumienia trzech państw muzułmańskich odgrywa czynnik ekonomiczny?



ZATOKA PERSKA



FOT. FADEL SENNA/AFPEAST NEWS

Kluczową. Arabia Saudyjska sprzedaje Pakistanowi na specjalnych warunkach ropę naftową, uzgodnione są też wielomiliardowe inwestycje w obszarze infrastruktury. Pomaga także Islamabado-

wi w spłacie zadłużeń wobec Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Chin. Arabia Saudyjska jest motorem tego paktu, a jego uzupełnieniem jest saudyjska inicjatywa, zakładająca utworzenie przez

14 państw regionu sił morskich do monitorowania bezpieczeństwa na Morzu Czerwonym.

Iran, dwa dni przed podpisaniem sojuszu przez Królestwo Saudów, Turcję i Pakistan, także zaproponował budowę paktu obronnego, do którego miałyby wejść wszystkie państwa muzułmańskie, sunnickie i szyickie. To de facto pomysł promowany przez Pekin. Jest on z jednej strony wymierzony we wpływ amerykańskie, z drugiej – to próba odpowiedzi na bliskowschodnie realia. Propozycja Teheranu nawiązuje do znormalizowanych stosunków z Arabią Saudyjską, jakie udało się osiągnąć w 2022 r., właśnie dzięki wsparciu Państwa Środka. I mimo wszystko ta współpraca saudyjsko-irańska w pewnym stopniu obroniła się i dziś, bo mimo tego, że irańskie rakiety spadały na Królestwo, to nadal podejmowane są dwustronne kontakty. Natomiast jestem przekonany, że w tej chwili dla tego rodzaju paktu, zwłaszcza pod hasłem jedności muzułmańskiej na Bliskim Wschodzie, nie ma miejsca. Budowa sojuszków musi uwzględniać kryteria uniwersalne, nie zaś religijne. Główni aktorzy

w regionie zdają sobie sprawę, że religia i jej wpływ na politykę prowadzi do konfliktów i jest punktem odniesienia dla ekstremizmów, które przecież istnieją we wszystkich bliskowschodnich krajach. Mogą być podejmowane pewne działania, zmierzające do włączenia Iranu, ale z pewnością nie pod religijnym sztandarem. Islam jest podzielony, nadal wykorzystywany przez terrorystów, a zagrożenie to jest przez państwa regionu traktowane na równi ze wszystkimi innymi zagrożeniami bezpieczeństwa.

Jak USA powinny odczytać to muzułmańskie porozumienie? Pakt to jest żółta kartka dla USA, ale nie oznacza wyrugowania Ameryki z regionu. Waszyngton nie pozwoli na to, by jego miejsce w tej części świata zajął Pekin. ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof

Płomiński

były ambasador
Polski w Arabii
Saudyjskiej i Iraku,
koordynator
Obserwatorium
Bliskowschodniego
Centrum Stosunków
Międzynarodowych

AUTOPROMOCJA



DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

Wiedza, której potrzebujesz, gdziekolwiek jesteś

3 miesiące dostępu w wakacyjnej cenie

Skorzystaj: dgp.pl/subskrypcja





FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

„Pоедиunek Puszkina i d'Anthès'a”, obraz Adriana Wołkowa z 1869 r.

Mankurci zabili Puszkina

W optyce wielu Rosjan ludzie Zachodu są od pokoleń odpowiedzialni za wszystko, co złego spotkało ich kraj

Piotr

Skwieciński

„To wszystko wymyślił Churchill w roku 1918!” – to słowa ballady „List z wariatkowi do redakcji programu telewizyjnego” Władimira Wysockiego. Mało obeznanemu z rosyjskością łatwo przegapić to zdanie, ukryte pośród potoku prześmiesznych oraz paranoicznych bredni i absurdów zawartych w monologu pacjenta zakładu psychiatrycznego, który wraz z kolegami dostał ataku szału na skutek obejrzenia telewizyjnego programu o Trójkacie Bermudzkim.

Jednak warto zwrócić uwagę na to zdanie, bo jest ono znaczące.

Winston Churchill, czyli szerzej: Anglicy, jeszcze szerzej: Anglosasi, a najszerszej: ludzie Zachodu – są bowiem od pokoleń w optyce wielu Rosjan odpowiedzialni za wszystko, co złego spotkało ich kraj od co najmniej XVII w. Z niejasnych powodów ludzie Zachodu wciąż snują antyrosyjskie spiski i są w swoim demonizmie niemal wszechmocni. Obalili cara i stworzyli ZSRR, w którym długo, w zakamuflowany sposób, rządili. Może dopiero Stalin zrobił z tym porządek, a może i on nie dał rady? Może ich agentem był Beria, ale może to oni go zamordowali?

I stąd u Wysockiego ten Churchill, który wszystko przewidział i wymyślił jeszcze w roku 1918.

Patologiczna nienawiść do Słowian

W latach 90. rosyjskie specłużby za pomocą supertajnych metod włamały się do mózgu amerykańskiej sekretarz stanu Madeleine Albright oraz przeskanowały go. Wykryły w nim straszliwą i patologiczną nienawiść do Słowian i chęć odebrania Rosji Syberii i przekazania złóż surowców pod zarządek międzynarodowy. Nie, to nie jest kolejna zwrotka ballady Wysockiego, to nie są brednie anonimowego nonejma. To konkluzja wypowiedzi gen. Borysa Ratnikowa z 2006 r. To był w ZSRR kagebista, zaś w czasach Jelcyna wiceszef Federalnej Służby Ochrony. Czyli człowiek istotny.

Oczywiście – na całym świecie może się zdarzyć, że ktoś ważny zacznie mówić dziwne rzeczy. Ale tylko w Rosji możliwe jest, że opowieść o przerażającej zawartości mózgu Albright stanie się czymś w rodzaju wiedzy powszechnej, często przywoływanej jako fakt niewymagający potwierdzenia. I że zaczął się nim posługiwać prezydent i jego najbliżsi współpracownicy. Bo po 2006 r. Władimir Putin, szef Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Nikołaj Patruszew oraz wicepremier Dmitrij Rogozin regularnie mówili, że „politycy zachodni” (nazwiska Albright nie używali) wielokrotnie ogłaszali, iż bogactwa Syberii trzeba odebrać Rosji i od-

dać pod zarządek międzynarodowy. A ten „fakt” nie ma żadnego innego źródła poza enuncjacją Ratnikowa.

W to, że Zachód czy Ameryka sformułowały takie żądania, wierzy wielu Rosjan.

Arkaim, matka Aryjczyków

Co nie dziwi nikogo choć trochę znającego ten naród. Rosja jest światowym centrum wszelkiego rodzaju teorii spiskowych. Istnieją one na całym świecie, ale szczególną cechą rosyjskich jest ich mainstreamowość – to, że wierzy w nie, mniej lub bardziej, ogromny odsetek ludności i że są traktowane jako równoprawny punkt widzenia.

Gdyby poszukać wspólnego mianownika dla tych teorii, to dla większości z nich byłaby nim koncepcja, iż Zachód od zawsze dąży do zniszczenia Rosji. Że „Zachód od dawna, a może nawet od wieków kategorycznie sprzeciwiał się samemu istnieniu wielkiej, silnej i od nikogo niezależnej Rosji” – jak napisał monarchistyczny i na-

ROSJA

cjonalistyczny filozof Wadim Kozinow. Lecz w Rosji nie jest to bynajmniej teza uchodząca za skrajną czy pozbawioną podstaw. Prezydent Putin w 2014 r. powiedział, że wobec obecnej Rosji stosowana jest polityka powstrzymywania „tak jak w XVII, XVIII, XIX i XX w.”, a w latach rosyjskiej wojny domowej tenże Zachód działał na rzecz jej rozczłonkowania, „wspierając wszelkie dążenia separatystyczne”.

Dlaczego Zachód tak czyni? Wytłumaczenia bywają różne. Od materialistycznych – chodzi o surowce, o tę całą syberyjską tablicę Mendelejewa, której wielkie pożądanie obnażył w mózgu Madeleine Albright gen. Ratnikow. Ale interpretacje bywają także metafizyczne. Ulubiony filozof Putina, biały emigrant Iwan Iljin, pisał, iż „historia Rosji jest historią samoobrony”, że Rosja nigdy na nikogo nie napadała, ale zawsze musiała bronić się przed światem, czyli przed Zachodem (Timothy Snyder nazwał rosyjski imperializm „imperializmem martyrologicznym”). Nikołaj Patruszew mówi wręcz, że Rosja jest jedynym mocarstwem toczącym wojny, bo współczuje innym narodom. Nigdy nie podbijała innych państw, odwrotnie – pomagała wszystkim wokół.

Inny niebanalny pogląd Patruszewa: koronawirus to dzieło służb specjalnych USA. Działających w interesie Big Pharmy, ale także dlatego, iż mocarstwa anglosaskie zmierzają do redukcji populacji planety do jednego miliarda. Politolog z Rosyjskiej Akademii Nauk Dymitr Jefremienko uważa za oczywiste, że jeśli Zachód będzie miał szansę, to podejmie działania w celu likwidacji samej rosyjskiej państwowości. I nikt w Moskwie nie uważa tych enuncjacji za coś kuriozalnego. Odwrotnie – w obecnym rosyjskim dyskursie to już niemal banał.

Przy czym Patruszew i tak wyraża to łagodnie. Inaczej niż choćby zawsze skrajny, ale głośny i dziś sytuujący się w rosyjskim mainstreamie pisarz Aleksandr Prochanow, który uważa, że „Zachód chce przemienić Rosję w gigantyczny piec, w którym spalą Rosjan, tak jak w XX w. palili Żydów w piecach Buchenwaldu. Ale Rosja ma potężną broń geopolityczną – Arkaim, matkę wspaniałych Aryjczyków! Ta matka narodów znajduje się w Rosji, Rosja strzeże tych ziem, strzeże mistycznych kluczy. Pyszni Europejczycy nie wiedzą, że Rosja jest ich rodzoną matką, w Rosji znajduje się kołyska, z której wyszli w świat. Rosja jest światowym kontrolerem, który z Arkaimu jest w stanie kierować mistycznymi potokami życia. Europy nie oplatają gazowe rurociągi, dostarczając paliwo europejskiej cywilizacji, tylko rurociągi Arkaimu nawadniają Europę energią twórczą! Nie daj Boże, Rosja zakręci te tajemnicze światłowody, odtąd Europę od żywiącej ją tajemnej macicy. I Europa uschnie, zwiędnie”.

Cały świat spiskuje przeciw nam

Rosjanie nie dostrzegają przy tym dwóch fundamentalnych aspektów rzeczywistości. Po pierwsze, że jest odwrotnie – że podstawowym strachem

Zachodu jest właśnie obawa przed upadkiem Rosji, przed grożącą wtedy destabilizacją. I po drugie – że sami mistyfikują stosunek Zachodu do siebie. Nie tylko w tym sensie, że nigdy nie był on tak jednostronnie negatywny, jak Rosjanom się wydaje. W sensie głębszym – państwo moskiewsko-petersburskie i spór z nim nigdy nie zajmowały Zachodu w stopniu bodaj zbliżonym do stopnia, w jakim ów Zachód i spór z nim przeżywali Rosjanie.

Bywało, iż Zachód fascynował się Rosją. Bywało, że z nią konkurował, polemizował czy walczył. Ale niezależnie od tego, jakie w danym momencie wywoływała ona na Zachodzie emocje, nigdy nie osiągnęły one w jego życiu intelektualnym i duchowym rangi nawet w przybliżeniu odpowiadającej ogromowi obszaru, który refleksje na temat Zachodu czy polemiki z nim okupowały i okupują w intelektualno-duchowym świecie Rosji.

Właśnie tego Rosjanie nie potrafią zrozumieć. Więcej – nie chcą zrozumieć. Przypominają psychopatę, darzącego obiekt swoich obsesyjnych uczuć mieszaniną pożądania i nienawiści i zakładającego intuicyjnie, że skoro oni obdarzają ten obiekt tak intensywnymi emocjami, on odwzajemnia się na podobnym poziomie – jeśli nas nie kocha, to na pewno nienawidzi. I niemogącego zrozumieć, że może być inaczej, że zajmujemy w jego życiu i umyśle przestrzeń nieporównywalnie mniejszą.

Ten stan zbiorowej świadomości przynosi efekty aberracyjne. Na przykład – wśród Rosjan nie budzi zauważalnych oporów lansowana przez zbliżonych do władzy propagandzistów wizja, w myśl której w czasie II wojny światowej ZSRR nie tylko niemal zupełnie sam powstrzymał Hitlera, ale też tak naprawdę cały świat zachodni był po stronie III Rzeszy. Przecież czeskie fabryki produkowały dla niej armaty, Belgowie, Holendrzy, Francuzi (i neutralni Szwedzi) wysyłali jej ochotników, a zachodni alianci tak naprawdę nie walczyli. W myśl tej wizji Hitler był przywódcą „kolektywnego Zachodu”, który po raz kolejny próbował zniszczyć Rosję.

„Obrona suwerenności”

Na przestrzeni całej historii Zachód próbował osiągnąć ten cel różnymi metodami. Od polskich, piastowskich księżniczek wydawanych w średniowieczu za mąż za ruskich książąt i przywożących ze sobą rzymskokatolickich kapłanów spiskujących w celu skatolicyzowania prawosławnych dworów. Przez powstrzymaną na szczęście przez Aleksandra Newskiego ekspansję niemieckich Kawalerów Mieczowych; fakt, że zakon nie miał w planach podbijania Rusi, choćby dlatego, że nie miał sił potrzebnych dla realizacji tak ambitnego zamierzenia, a jego utarczki z północnoruskimi księstwami były typowymi dla średniowiecza starciami granicznymi o niewielkiej skali i znaczeniu – nie jest w tej optyce istotny. Przez, rzecz jasna, knucie jezuitów, osadzenie w Moskwie Dymitra Samozwańca, a następnie pojawienie się Polaków na Kremlu i wybranie na cara Władysława Zyg-

muntowicza Wazę – to oczywiście też są działania kolektywnego Zachodu. Charakterystyczne, że rosyjska narracja, opowiadając o dawnych konfliktach Rusi czy Rosji z poszczególnymi krajami zachodnimi, traktuje je jako wypustki tego właśnie kolektywnego Zachodu. Kierowanego przez, można sądzić, jakieś jedno tajne centrum, a co najmniej – jakąś zbiorową wolą, powstającą gdzieś w podświadomości zachodnich elit.

Rosjanie są przy tym skłonni pominąć wszystkie różnice między poszczególnymi zachodnimi państwami, a także fakt, że niejednokrotnie współpracowały one z Moskwą czy Petersburgiem przeciw sobie nawzajem. Anglia wspierała Rosję przeciw Napoleonowi? Nieważne, zawsze była perfidna i chciała Rosję zniszczyć. Cesarze austriaccy i królowie szwedzcy współpracowali w XVII w. z Moskwą przeciw Rzeczpospolitej? To wszystko są nieważne szczegóły, które nie zmieniają faktu, że w szerszym planie wszyscy ci władcy, jak cały Zachód, zawsze byli elementem antyrosyjskiego spisku.

Bardzo charakterystyczna jest pod tym względem dostępna w internecie, a fizycznie objeżdżająca większe miasta Rosji, zorganizowana przez Ministerstwo Sprawiedliwości wystawa „Obrona suwerenności państwa rosyjskiego”. Niezwykle obszerna (w internetowej wersji zawierająca biogramy i zdjęcia tysięcy Rosjan ogłoszonych przez władzę „agentami zagranicy”) jest modelowym przykładem opisywanego sposobu pojmowania rzeczywistości. Rosję co najmniej od XVI w. otacza zachodni spisek, wykorzystujący idących na jego pasku Rosjan. Jego cele są wprost polityczne, ale też metapolityczne – Rosjan należy pozbawić dumy i przepoić kompleksem niższości.

Warto też (to dotyczy już nie konkretnie wystawy Ministerstwa Sprawiedliwości, tylko innych, bez przerwy pojawiających się w przestrzeni publicznej „informacji”) pamiętać, że w rozstrzelaniu carskiej rodziny w 1918 r. nie uczestniczyli żadni etniczni Rosjanie, tylko wyłącznie Żydzi i austriaccy jeńcy wojenni. No i o tym, że, oczywiście, radzieckie dokumenty świadczące o tym, że Polaków w Katyniu mordowało NKWD, a nie Niemcy, zostały sfałszowane w czasie pierestrojki. Wprawdzie radzieckie sprawstwo potwierdzili Gorbaczow, Jelcyn, Miedwiediew i sam Putin, no ale dwaj pierwsi kłamali, bo to zdrajcy. A dwaj drudzy... To kłopotliwe, więc raczej należy ten fakt pomijać.

Demony z Harvardu

A dziś? Dziś, czyli jeszcze od czasów radzieckich, Zachód realizuje wobec najpierw ZSRR, a teraz Rosji jednocześnie trzy projekty – harwardzki, houstoński i plan Dullesa. Nigdy o nich nie słyszeł? Nic dziwnego, nie słyszał o nich nikt poza Rosją.

Również w Rosji pierwotne źródła informacji o istnieniu tych strategii zacierają się, a tak naprawdę po prostu nie istnieją. Tym niemniej te programy są traktowane w Rosji jako oczywistość. A mają, rzecz jasna, być rozpisane na dekady precyzyjnymi planami dopro-

wadzenia do zagłady Rosji, jej duchowego wykastrowania i przejścia przez Zachód.

„Zachód dąży do zniszczenia rosyjskiej państwowości, narodowej jedności, rodziny i moralności. Celem wojny tego rodzaju jest zmiana kulturowo-cywilizacyjnej istoty narodu stanowiącego podstawę państwowości, przekształcenie go w «mankurta» (ważne we współczesnej politycznej ruszczyźnie pojęcie, wywodzące się z powieści kirgiskiego pisarza Czingiza Ajtmatowa „Dzień dłuższy niż stulecie” – mankurt to człowiek, któremu poprzez tortury odebrano pamięć i świadomość pochodzenia, pozbawiony tożsamości, niepamiętający rodziny, narodu i przeszłości, bezkrytycznie wykonujący polecenia panów) oraz podporządkowanie jego woli, a także ustanowienie dominacji zachodniej ideologii nad umysłami ludzi i globalnych korporacji nad terytorium oraz zasobami rosyjskiej cywilizacji. Końcowy etap w latach 90. miał, w ramach projektu z Houston, doprowadzić do rozczłonkowania Rosji na małe państwa i przekształcenia ich w surowcowe zaplecze Zachodu. Zakładano przy tym, że Syberia przejdzie pod kontrolę USA, Północny Zachód – Niemiec, Południe i Powołże – Turcji, a Daleki Wschód – Japonii” – pisze Jurij Apuchtin, niegdyś rosyjskojęzyczny separatysta z Ukrainy, dziś poczytny publicysta.

Od zawsze

Przy czym Zachód czynił tak zawsze, używając nieprawdopodobnych w swojej perfidii metod.

– Nikołaju Pietrowiczu, wcześniej zwracał się pan do Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej z prośbą o wznowienie śledztwa w sprawie okoliczności śmierci Michaiła Lermontowa. Na jakim etapie znajduje się obecnie ten proces?

– Odbiliśmy osobiste spotkanie z Aleksandrem Bastrykinem, podczas którego przedstawiłem mu swoje stanowisko i argumenty. Powiedział, że sprawa jest interesująca, i polecił włączyć do prac instytutu kryminalistyki... Jestem przekonany, że śledztwo przeprowadzone po śmierci Lermontowa w 1841 r. było nieprawidłowe. Prowadzono je w pośpiechu, z naruszeniem wielu zasad i z wyraźnym pobłażaniem dla winnych. Uważam, że równie dokładnie należy zbadać okoliczności śmierci Puszkina. Moim zdaniem w wyeliminowanie obu proroków Rosji mógł być zamieszany ten sam krąg nastawionych rusofobicznie ludzi tamtych czasów, o których przyjaciel Puszkina, poeta Nikołaj Jazykow, pisał w poemacie „Do nie naszych”... – odpowiada popularny aktor i deputowany do Dumy Nikołaj Bulajew.

Co do tego, z kogo składał się ten krąg zabójców, poeta Jazykow w swoim wierszu nie był zbyt precyzyjny. Dlatego najrozsądniej pozostać przy ogólnym stwierdzeniu: Lermontowa i Puszkina zamordowali zapewne agenci Zachodu, chcący w ten sposób zniszczyć tworzącą się wielką rosyjską kulturę. I, oczywiście, uczynić z Rosjan mankurtów. ©©

Autor jest publicystą.

W latach 2019–2022 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie

Kultura

Nie gramy tylko chrześcijańskich piosenek

Weszliśmy na scenę, a tam oklaski, aplauz, zainteresowanie publiczności. To jest adrenalina, narkotyk. Jak złapiesz bakcyła, chcesz więcej i więcej

Z Janem i Mateuszem

Pospieszalskimi

rozmawia Konrad Wojciechowski

Każdy młody chłopak marzy, kim będzie, kiedy dorośnie. Wy dorośliście w przykościelnym domu, więc mieliście chyba wąski wybór – zostać muzykami albo księżmi?

MATEUSZ POSPIESZALSKI: Jak rozmawiałem po latach z tatą, wyznał mi szczerze: „Nigdy nie przypuszczałem, że zostaniecie muzykami”. Nasza rodzina z dziada pradziada przekazywała potomnym tradycję plastyczne. Nasza mama przerwała przecież studia na Akademii Sztuk Pięknych, bo zaczęła rodzić dzieci. Wyobrażała sobie, że Janek zostanie księdzem. Później w tej roli widziała Pawła. Następnie Karola... Ja miałem duże zadatki na duchownego. Jako dziecko lubiłem się bawić w odprawianie mszy. Miałem koc z dziurą wypaloną przez żelazko i zakładałem go, udając, że noszę ornat. No i co? I też księdzem nie zostałem.

JAN POSPIESZALSKI: Miałem trzy, może cztery lata i kiedy ktoś mnie pytał, jaki zawód wybiorę, odpowiadałem, że zostanę księdzem proboszczem albo pijakiem.

Pijakiem? Skąd taki pomysł?

JAN: Mieszkaliśmy na peryferiach Częstochowy. Stary, poklasztorny budynek po wojnie w części przejął kwaterunek. Plebańię urządzono na pierwszym piętrze, na dole mieszkali organista i kościelny, a do pozostałych mieszkań

dokwaterowano ludzi, którzy z parafią i kościołem niewiele mieli wspólnego. Spotykałem na korytarzu albo księży, albo sąsiadów pijaczków. Jakie mogłem mieć męskie wzorce?

Wasza mama mówiła, że Janek nadaje się na księdza, bo idą za nim ludzie. Tak było?

MATEUSZ: Janek był absolutnie przebojowym chłopakiem. Jako pierwszy z rodzeństwa przyniósł do domu gitarę, na której próbowaliśmy grać kawałki podsluchane w Radiu Luksemburg. To od niego zaczęło się rodzinne muzykowanie.

JAN: Do rodziców przychodził pewien znajomy, z którego zdaniem mama i tata bardzo się liczyli. Zapytał mnie kiedyś: „A ty, Janur, co robisz? Jakie masz plany?”. Mówię: „Kończę liceum plastyczne, a w szkole muzycznej robię dyplom na kontrabasie”. „Plastyk? Muzyk? To będzie bida z nędzą”. (śmiech)

MATEUSZ: Miałem dokładnie tak samo, wiele lat później. Wracalem nocą z jam session w Częstochowie do Katowic. Idę na pociąg, chcę jeszcze coś zjeść na dworcu. Przysiada się facet i mówi: „Gadaj ze mną, gadaj, bo tu węższą milicjanci!”. Kieszonkowiec, nie chciał, żeby zwrócono na niego uwagę. I tak od słowa do słowa, nagle pyta: „A co ty robisz?”. „Chodzę do liceum muzycznego”. A on na to: „Jak sobie teraz życia nie ułożysz, to ci żadne włamsko później nie pomoże” (śmiech).

No i zostaliście artystami. Wiara zawsze szła w parze z muzyką?



Jan Pospieszalski – kompozytor, muzyk, grał w Czerwonych Gitarach i z duetem fortepianowym Marek i Wacek, były basista Voo Voo. Później dziennikarz i publicysta, autor popularnych programów telewizyjnych. Twórca kanału na YouTube: „Jan Pospieszalski rozmawia”. Mateusz Pospieszalski – kompozytor, muzyk, multiinstrumentalista, współpracował m.in. z Maanamem, Tie Breakiem i Zakopowerem. Autor muzyki filmowej i teatralnej. Członek zespołu Voo Voo



JAN: Nie było innej rzeczywistości. Silny związek z Kościołem dawał ojcu poczucie bezpieczeństwa i pomagał przetrwać komunę. Tata dostał ofertę pozostania w roli wykładowcy na Politechnice Warszawskiej pod warunkiem zapisania się do partii. Nie zgodził się i wyładował w Częstochowie, gdzie za czasów okupacji zaprzyjaźnił się z ordynariuszem Kubiną. Biskupi zobaczyli, że nasz ojciec jest inteligentny, wygadany, kocha Kościół, architekturę i zna się na malarstwie. A potrzebowa- no rąk do pracy. Wiele kościołów, często o wartości zabytkowej, było po wojnie zaniedbanych, wymagało renowacji. Umocowanie rodziców w ścisłej orbicie Kościoła powodowało, że w takim ekosystemie dorastaliśmy. Nie mieliśmy alternatywy. Ona się pojawiła dopiero podczas eksplozji ruchu hipisowskiego i muzyki rockandrollowej.

Dwa totalnie różne światy.

JAN: Oczywiście. Pojawiają się hipisi, a my nadal jesteśmy w Kościele – chodzimy na msze, uczestniczymy w obrzędach roku liturgicznego, nie ma z naszej strony apostazji, buntu. Widzimy, że w epoce opresyjnego, siermiężnego PRL, który żywi się propagandą i kłamstwem, Kościół jest oazą i niezwykle miejscem: bogatej architektury, zapachu kadzila, wielowiekowej tradycji i tajemnicy.

Ale Kościół wymaga posłuszeństwa wobec ugruntowanych nauk i niepodważalnych aksjomatów. Czy w was, młodych ludziach, którzy zwykli kontestować, nie wywoływało to oporu?

JAN: Na Jasną Górę ciągnęły pielgrzymki, również hipisów. Jest lato, wakacje, przyjeżdża tłum ludzi. To robiło wrażenie. Wiesz, nas nie było stać na wycieczki nad Morze Czarne – siędzieliliśmy w domu. Tata ewentualnie zabierał nas na wyjazdy biznesowe, np. do Krynicy Górskiej. Dzięki takim wycieczkom poznałem prymasa Wyszyńskiego, Różę Siemieńską... Za moment wybucha Solidarność, ludzie wychodzą na ulicę, cała Polska strajkuje. Częstochowa zaczyna pulsować. To już nie są tułaczki dzieci kwiatów – wchodzi komponent społeczny, solidarnościowy, oazowy. Ludzie mają oparcie w Kościele. Z jednej strony komuna, z drugiej – Wałęsa z Matką Boską w kłapie. Wybór zero-jedynkowy.

MATEUSZ: Hipisowski bunt został szybko zagospodarowany. Rodzice postanowili go kontrolować, czyli wykorzystywać zapał dzieciaków do muzyki i posyłać młodzież do szkół muzycznych. Odbiliśmy stosowną edukację. A co do Kościoła, co sprytniej si księża kombinowali, jak przyciągnąć małych dzieciaków za pomocą muzyki rockowej. A na Jasnej Górze organizowane są msze beatowe, w których braliśmy udział my i całe muzyczne środowisko w Częstochowie.

No właśnie, pod koniec lat 60. Czerwono-Czarni nagrywają mszę beatową, „Pan przyjaciele moim” i muzyka młodzieżowa rozbrzmiewa w parafiach. Uciekaliście do kruchty, aby pograć zakazanego w domu rock and rolla?

JAN: U nas nie było tego napięcia. Ojciec akceptował nasze granie, ale postawił warunek – żeby z tego było wykształcenie, zawód, pieniądze.

MATEUSZ: Zostaliśmy posłani do szkół muzycznych, a skoro chcieliśmy grać rocka, ojciec postanowił pisać nam teksty. Bo tata był artystą o szerokich horyzontach. Marzył o malarstwie, a poszedł na architekturę, bo z malowania obrazków rodziny nie utrzymał. Nasze muzykowanie traktował w kategoriach zabawy, dlatego układał śmieszne rymowanki: „Tup, tup, tup / Mamo, mamo nowe buty kup / Bo te stare, nic nie warte, już zelówki mają zdarte / Święcą pięty i paluchy, dobrze jeszcze, gdy dzień suchy...”

Tak powstała Niedzielną Szkółką Ojca Stanisława – wasz rodzinny zespół, o którym zaczęły opowiadać media ogólnopolskie. Byliście zjawiskowi i to wam pomogło w oswojeniu ze sceną?

JAN: Pomogło. Utwierdziło w przekonaniu, że warto grać. Dowartościowanie zawsze motywuje. Weszliśmy na scenę, a tam oklaski, aplauz, zainteresowanie publiczności. To jest adrenalina, narkotyk. Jak złapiesz bakcyła, chcesz więcej i więcej.

Cudowna rodzina?

JAN: Początkowo nas wyszydzano. Rówieśnicy wołali za nami szyderczo: „Co rok to prorok!”. „Kiedy będziecie mieli drużynę piłkarską?”. „Tata sobie gumki nie założył?”. Antyrodzinna narracja. Trójka, czwórka dzieci była wówczas standardem. Ale nas było dziewięć! W 1956 r. wprowadzono w Polsce legalną aborcję. Jak mama poszła w ciążę z kolejnym dzieckiem do lekarza, od progu usłyszała: „No to co, usuwamy?”. Trzasnęła za sobą drzwiami. Mieszkaliśmy na kupie. Koledzy i koleżanki mieli już telewizor w domu, a u nas kolejne dziecko. I nagle pojawia się zainteresowanie, przyjeżdża radio, telewizja, są pierwsze nagrania, występy, gazety piszą o grającej rodzinie Pospieszalskich. To nas buduje. Do Częstochowy przyjeżdża Bożena Walter z zaproszeniem do Studia 2. Jej asystentką była młodzianka Ela Jaworowicz – zjawiskowo piękna dziewczyna. Po latach, gdy spotkałem Elę na Woronicza, powiedziałem jej: „Ela, żebyś ty wiedziała, jak ja na ciebie patrzyłem. Jak na anioła z nieba, byłaś taka laska!”. Myślałem, że mnie z wdzięczności zcałuje na śmierć (śmiech).

MATEUSZ: Wychowywaliśmy się w biedzie. Żył się skromnie. Raz w tygodniu był rosół w niedzielę, a poza tym ziemniaki, makarony, naleśniki. I tyle. Ale dobrze wspominam dzieciństwo. Trzymaliśmy się razem. Podwórko, dużo miejsca do zabawy, no i kościół. Siostra zakonna, która była w parafii organistką, czasami zostawiała nam klucze i cieszyła się, że ją zastępujemy, że nie musi grać na pogrzebie albo ślubie. Na zmianę z Marcinem siadaliśmy w kościele do organów. Byliśmy dziećmi. Marcin ode mnie tylko o dwa lata starszy.

Nie mieliście tremy grać przed audytorium wiernych?

MATEUSZ: To wchodzi w krew. Jak się wszyscy zwiedzieli, że są w okolicy zdolni gówniarze, to gdy brakowało organisty w parafii, przyjeżdżał ksiądz i prosił mamę, żeby któryś z nas zagrał. Marcin pojechał do Mykanowa na wakacje i tam grał jako organista. A ja do Gnaszyna i w tamtejszym kościele występowałem przez dwie niedziele. Byłem zdziwiony, kiedy wpadło mi parę groszy od proboszcza, bo to granie było na chwałę Pana i dla przyjemności, a dzieciaków nikt nie traktował poważnie.

Ale później pojawiły się poważniejsze pieniądze zarobione na muzyce?

MATEUSZ: Miałem 16 lat i pojechałem dla przyjemności zagrać koncert z Tie Breakiem. Urwałem się z liceum na Pomorską Jesień Jazzową do klubu Żak w Gdańsku. „Mateusz, słuchaj, to jest dla ciebie” – powiedział Krzysiek Majchrzak po występie. Byłem zszokowany, że dostałem jakiegokolwiek pieniędzy. Za możliwość grania sam bym jeszcze zapłacił.

JAN: Jeśli o mnie chodzi, to zacząłem zarabiać na weselach. Koledzy mieli już kapelę. Weselnicy angażowali zespół z miasta, aby przygrywał do tańca modne kawałki. Ale w czasie oczepin czy składania życzeń grała kapela ludowa – taka tradycja. Prawdziwy akordeon, skrzypce. Ja sobie z tego kpiłem – jak to tak grać „na świni” (pogardliwie o akordeonie – przyp. autora). Nasi koledzy z zespołu lubili zabalować. Ładowali po północy z nosem w sałatce, a ja z perkusistą mieliśmy zasadę – nie pijemy. Dogrywaliśmy więc w duecie piosenki do samego rana, aby miejscowi nas w porywach gniewu nie roznieśli na strzępy.

Rozumiem, że wasze ambicje sięgały dalej niż akompaniowanie ubzdryngolonym weselnikom?

JAN: Zacząłem grać z Piotrem Prońką (bratem Krystyny – przyp. autora). On mówi tak: „Słuchajcie, zarobimy na porządne instrumenty”. Załatwiłem robotę w Varietes „Centrum” w Katowicach. To była druga połowa lat 70., późny Gierek. Górnikom należała się światowa rozrywka: iluzjonista, striptizerka, znana piosenkarka – taka składanka estradowa. A my jako zespół akompaniujący – do striptizu, do baletu, do żonglerki. Jednak w silnym składzie: trąbka, saksofon, gitara, bas, bębny i trzy dziewczyny w chóru. Stamtąd załapałem się do Czerwonych Gitar. Akurat robili casting. Znalazłem się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Nie miałeś obiekcji? Ty, nieopierzony chłopak, i oni – kapela o ogromnym dorobku i uznaniu, ale jednocześnie to mógł być obciach, że maolat poszedł grać ze staruchami.

JAN: Fakt, grałem już ambitniejsze rzeczy. To był krok w tył tylko pozornie. Odebrałem lekcję profesjonalizmu – co to jest scena, czym jest szacunek do widza. Wyglansowane buty, czysta koszula, punktualność, trzeźwość, nie wolno się zbłądzić. W 1978 r. poleciałem z Krajewskim i spółką do Ameryki. W Stanach

Zjednoczonych poznałem środowisko polskich muzyków, którzy pracowali w Hollywood, pokazywali mi, jak grać kciukiem na basie, poszedłem na koncert Stanleya Clarka. No, inny świat! I ciągle nauka estrady. Był z nami konferansjer Jacek Fedorowicz. Wychodził na scenę z make-upem! Po raz pierwszy zobaczyłem pomalowanego faceta. Wtedy mnie to jeszcze dziwiło.

MATEUSZ: Janek szalał z Czerwonymi Gitarami, a ja miałem przez to dodatkowe punkty u dziewczyn w podstawówce (śmiej).

Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy.

JAN: Wprowadzono stan wojenny i zrobiło się niemrawo. Czerwonym Gitarom skończyły się NRD-owskie kontrakty, bo Honecker i jego świta przestraszyli się Solidarności. Mówili o niej „faszyści”. Nie zamierzałem czekać na rozwój wypadków i zameldowałem się w grupie Marka i Wacka – na kontrabasie. I wszystko szło dobrze, dopóki nie zabrali mi paszportu. Znowu skończyły się trasy. Na szczęście byłem niezależny finansowo. Zająłem się biznesem chałupniczym. I wtedy na horyzoncie pojawił się zespół Woo Boo Doo (z Mateuszem i Marcinem Pospieszalskimi w składzie – przyp. autora). Potrzebował menedżera. A ja miałem samochód kombi. Mogłem sprzęt przewieźć, coś załatwić. Pojechaliśmy do Jarocina. Tam poznałem Wojtkę Waglewskiego, który składa propozycję: „Widzę, że obrotny z ciebie facet. Może podjąłbyś się menedżerowania u mnie w Voo Voo?”. A ja na to: „Wojtek, ja to bym wołał z tobą zagrać?”. „A to ty umiesz grać?”. (śmiej)

I tak dołączyłeś do Mateusza. Historia zatoczyła koło.

MATEUSZ: Opowiem, jak to było. Jest Jazz nad Odrą – dzień rockowy. Organizatorzy zaprosili Voo Voo oraz Tie Break. I Wągiel mówi do Janka, że dobrze byłoby wziąć kogoś z Tie Breaku na solówkę w jednym numerze. Może trębacz? Janek oponuje: „A może saksofonistę?”. I tak skończyło się na mnie. Brat walczył o rodzinę. (śmiej) Ostatecznie zagrałem w dwóch numerach. Wojtkowi tak się spodobało, że zaprosił mnie na kolejny koncert. I zostałem na stałe.

Mówi się, że Voo Voo to więcej niż zespół...

JAN: Był w tym element wspólnotowy, który przekraczał ramy zawodowe. My, bracia z wielodzietnej rodziny, i Wojtek – jednak. Przyłgnęliśmy do siebie.

MATEUSZ: Okazało się, że słuchamy tego samego: muzyki ludowej, hinduskiej, afrykańskiej, Johna Coltrane’a, Milesa Davisa, Ornette’a Colemana, Dona Cherry’ego. To wszystko nas napędzało. Przesiadaliśmy z żonami i przyjaciółmi na imprezach u Janka w mieszkaniu na Gagarina. A latem jeździliśmy razem na wakacje. I kto je organizował? Janek, bo był menedżerem. Voo Voo to jest rodzinne przeżywanie czasu wspólnego.

I co się wydarzyło, że w tej zgodnej rodzinie doszło do rozłamu? Voo Voo gra nadal, a zaraz minie 30 lat, odkąd Janka nie ma w zespole.

JAN: Wojtek ze Stopą (Piotr Żyżelewicz, nieżyjący perkusista Voo

Voo – przyp. autora) nagrali z nami płytę „Kolędy Pospieszalskich” i uczestniczyli jako goście w koncertach. I raz doszło do niefajnego incydentu. Powiedziałem im do słuchu, przy ludziach, a mieliśmy taką zasadę, że o rzeczach nieprzyjemnych rozmawiamy na osobności. Wojtek się obraził i nie przyjechał na następny koncert, a Stopa wziął jego stronę.

MATEUSZ: W dodatku Janek miał już swoje inne sprawy zawodowe – prowadził biznes, pracował w telewizji. Wpadał na koncerty Voo Voo tuż przed wyjściem na scenę. Wojtek był zmęczony przyjazdami Janka na ostatnią chwilę. W dodatku te kolędy Pospieszalskich ze Steczkowskimi nie leżały w estetyce Wągla. Nie wiedział, jak z tego wybrnąć. Dysonans z Jankiem był dobrym pretekstem, aby odpuścić kolędowanie.

Janku, nie żałujesz poświęcenia kariery muzyka dla telewizyjnego prezentera?

JAN: Trochę żałuję, ale na tę zmianę nałożyło się kilka okoliczności. Po pierwsze, po bardzo intensywnym okresie w moim życiu zacząłem mieć świadomość, że alkohol nie służy zdrowiu. Mojemu zdrowiu. A po drugie, zacząłem pracę w telewizji i trudno było mi pogodzić granie w zespole z przygotowaniem cotygodniowego programu. Mówię o „Swojskich klimatach”. Wciągnęły mnie wyprawy terenowe z kamerą, odwiedzanie muzyków ludowych w całej Polsce i badanie rodzimego folkloru. Zwyciężyło poczucie misji. Oczywiście o telewizji nie miałem zielonego pojęcia, ale nie pękałem przed kamerą. Pomogło doświadczenie estradowe. Telewizja wkręca.

I tak już zostanie? Nie ciągnie cię na scenę?

JAN: Wracam do muzyki, kupiłem porządną gitarę i będę ćwiczył. Uroczyste obiecuje. (śmiej)

Wystąpicie całą rodziną?

Jeśli znowu będą to kolędy, ludzie was zapamiętają jako artystów kościółkowych.

MATEUSZ: Ależ my gramy inne rzeczy! Dwa lata temu wydaliśmy album „Dom” – z naszą muzyką do poezji Herberta, Leśmiana i Norwida. Ludzie dzwonili, pisali i zachwycali się tą płytą.

Dowiaduję się teraz, że wyszła jakaś płyta...

MATEUSZ: Ano właśnie, ja tego nie rozumiem. Materiał wydało Polskie Radio, ale zawiodła promocja. Zmieniły się priorytety dzisiejszych mediów – zależy im tylko na lajkach. Mało recenzji, to i płyta niepopularna.

I w tym tkwi wasz problem?

MATEUSZ: Nasz problem polega na tym, że mamy w tej chwili 15-osobowy zespół, czyli małą orkiestrę kameralną, a koncerty na taką liczbę osób trudniej sprzedać. Zgadza się, potrzebujemy innego PR-u, bez tej otoczki kościelno-politycznej. Ludzie patrzą na nas, jakbyśmy grali tylko piosenki religijne. Co jest kompletną nieprawdą, bo przecież zaświadczaliśmy już swoim artystem, kim jesteśmy. ©

Gagarin miał śpiewać tenorem

To o nim, a nie o Karolu Szymanowskim, miał usłyszeć świat. Kompozytor, rewolucjonista, socrealista á rebours i ekscentryk. Mija 60 lat od śmierci Apolinarego Szeluty

Tomasz

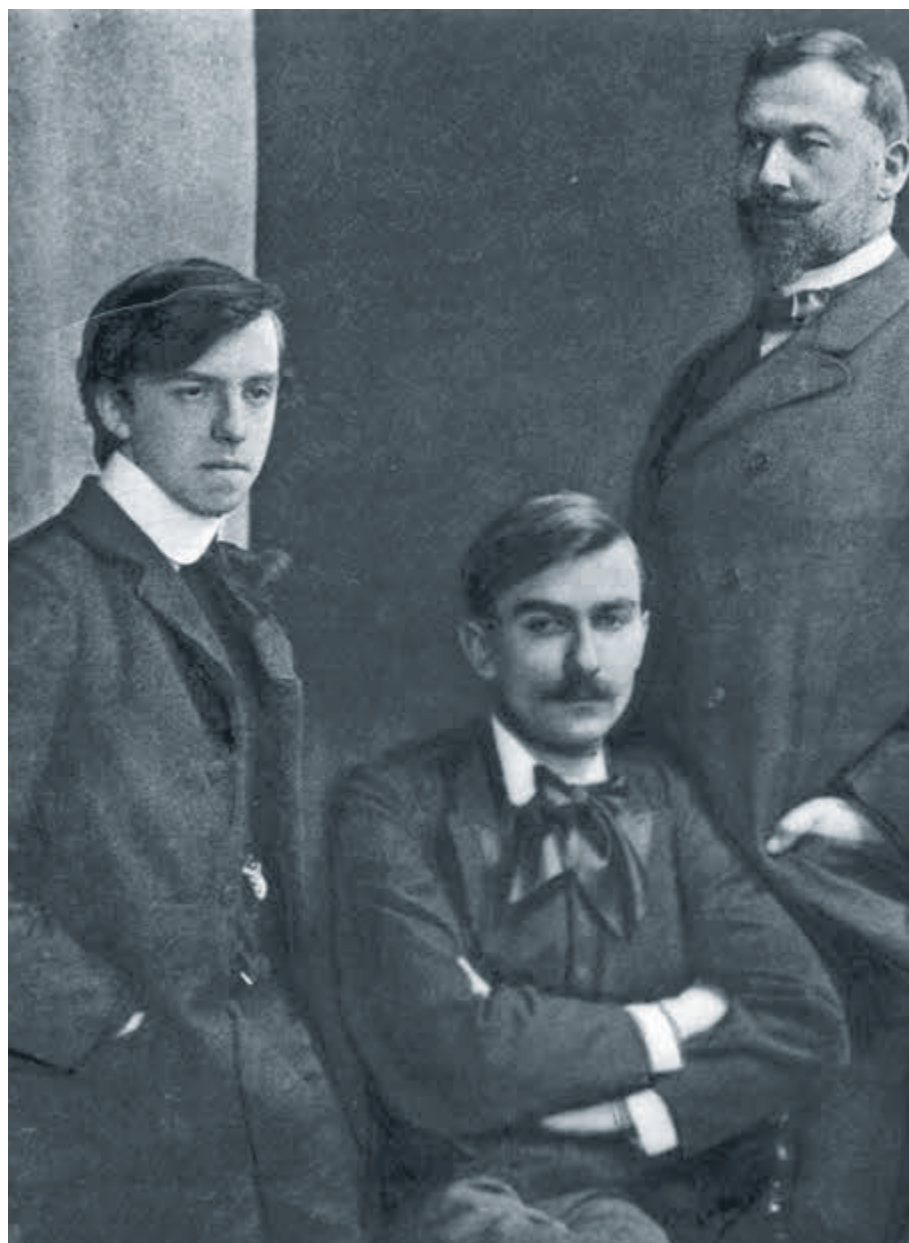
Adamczyk

Ich najbardziej znane zdjęcie pochodzi z okresu, gdy tworzyli grupę Młoda Polska w muzyce. Przedstawia ono pięciu mężczyzn: starszego pana i czterech młodzieńców po dwudziestce. Starszy pan to książę Władysław Lubomirski, ziemianin i ich hojny mecenas. Młodzieńcy zaś to Karol Szymanowski, Grzegorz Fitelberg, Ludomir Różycki i Apolinary Szeluto. Pierwszego

z nich znają dziś zdecydowanie wszyscy, dwóch pozostałych wielu kojarzy choćby trochę. O czwartym mało kto słyszał. A przecież miało być inaczej.

Głośno będzie w świecie

Kiedy bowiem na początku pierwszej dekady XX w. zapytano Zygmunta Noskowskiego, profesora warszawskiego konserwatorium muzycznego, o ocenę



MUZYKA

jego studentów, ten nie miał wątpliwości, że może być dumny z trzech. „Jeden z nich to pod każdym względem fenomenalny talent, o którym głośno kiedyś będzie w świecie. Drugi może nie jest tak wyjątkowo utalentowany, ale także ma dane, aby stać się wybitnym kompozytorem. Trzeci nie dorównuje tamtym dwu młodym muzykom, ale i z niego coś będzie” – oceniał Noskowski. Miał na myśli – w kolejności – Apolinarego Szelutę, Ludomira Różyckiego i Karola Szymanowskiego. W rzeczywistości stało się zupełnie inaczej.

Na studia do warszawskiego konserwatorium muzycznego Apolinary Szeluto (a raczej Szeluta, bo wówczas takiej formy nazwiska używał) przyjechał z Rosji w 1901 r. Urodził się 23 lipca 1884 r. w Petersburgu, ale pochodził ze starej, osiadłej na Kresach, polskiej rodziny szlacheckiej. Jego dziadek Franciszek był powstańcem listopadowym. Ojciec Mikołaj – inżynierem. Z muzyką młody Apolinary zetknął się wcześniej, ponieważ rodzice grywali na fortepianie, szczególnie chętnie utwory Chopina. W dziewiątym roku życia chłopiec rozpoczął regularną naukę gry na fortepianie, w wieku 11 lat komponował już mazurki. Uczęszczał do gimnazjum klasycznego, które ukończył w 1901 r. Potem ruszył do Warszawy.

W warszawskim konserwatorium studiował kompozycję w klasie

Zygmunta Noskowskiego (i na swoje szczęście – to okaże się po latach – rozpoczął też studia prawnicze na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim). „Prof. Noskowski od razu oznajmił, że spodziewa się po mnie wiele, gdyż w ciągu jednego roku ukończyłem roczny kurs teorii muzyki i dwuletni kurs harmonii” – wspominał Szeluto po latach.

Zawarł ważne przyjaźnie. Poznał Karola Szymanowskiego, Ludomira Różyckiego i Grzegorza Fitelberga. Ten ostatni nie krył dla niego podziwu. „Szeluto skomponował ostatnią część sonaty. Coś tak bajecznego i pięknego!” – pisał o Sonacie fortepianowej H-dur do muzykologa Adolfa Chybińskiego.

Dobłą passę przerwała rewolucja 1905 r. Najpierw w Teatrze Wielkim, podczas przedstawienia opery Richarda Wagnera „Tannhäuser”, Szeluto został aresztowany za rozrzucanie antycarskich ulotek. „Czterech żołnierzy kierowanych przez carskiego żandar-

ma otoczyło mnie, aresztowało, nie bacząc na protesty publiczności” – wspominał. Uratowało go to, że mundurowi podczas rewizji znaleźli przy nim legitymację konserwatorium. Zatelefonovali tam, a za młodym buntownikiem wstawił się prof. Noskowski. Szeluto został uwolniony.

Koniec nauki w Warszawie był jednak i tak nieuchronny, bo na skutek rewolucyjnych wydarzeń, w tym bojkotu szkół, władze rosyjskie zamknęły konserwatorium i uniwersytet. Szeluto opuścił miasto. Podróżował po Polsce, poznając folklor różnych regionów. W Zakopanem zaprzyjaźnił się z Mieczysławem Karłowiczem i Stanisławem Witkiewiczem.

Bzik lub anarchista muzyczny

Jesienią 1905 r. wyjechał do Berlina. Wraz z Szymanowskim, Fitelbergiem i Różyckim założył tam Spółkę Nakładową Młodych Kompozytorów Polskich, znaną potem jako grupa Młoda Polska w muzyce. Za cel ambitni kompozytorzy obrali sobie propagowanie w Europie młodej muzyki polskiej i konkurowanie ze starszymi, „konserwatywnymi” twórcami znad Wisły. Wydawali utwory w Berlinie, a na terenie zaborów rosyjskiego i austriackiego ich dystrybucją zajmowała się warszawska spółka wydawnicza Gebethner i Wolff.

Wielkim sukcesem Apolinarego Szeluty i kolegów z grupy Młoda Polska była możliwość zaprezentowania swoich utworów w Filharmonii Warszawskiej. 6 i 9 lutego 1906 r. odbyły się dwa koncerty. Oprócz utworów Szymanowskiego i Różyckiego wykonano m.in. cztery preludia i nokturn z Sonaty fortepianowej H-dur Szeluty. Orkiestrą dyrygował Fitelberg.

„Jest to istotne grono najmłodszych w muzyce, grono prawdziwych talentów. Można życzyć grupie młodych muzyków dalszego owocnego rozwoju na drodze doskonalenia się w swojej sztuce. Talentów im nie braknie” – pisał „Tygodnik Ilustrowany”. Z kolei Aleksander Poliński z „Kurier Warszawski” był złośliwy, zwłaszcza wobec Szeluty. „Zdawało mi się, że słucham kompozycji bika lub anarchisty muzycznego” – pisał krytyk.

Spółce szło dobrze. Po Warszawie przyszedł czas na koncerty w Filharmonii Berlińskiej, ale tam żadnych utworów Szeluty już nie wykonano. Pomiędzy kompozytorami doszło do konfliktu na tle ideowym. Szeluto po latach wspominał kłótnię z Szymanowskim, przy ciemnym piwie, w jednej z berlińskich restauracji. Szymanowski był za „sztuką dla sztuki”, bez względu na odbiorców. Szeluto chciał tworzyć „dla najszerzych warstw społeczeństwa”. Były też nieporozumienia na tle finansowym: czyje utwory wydawać przede wszystkim, w kogo inwestować. Niezadowolony z tego, w jaki sposób Fitelberg zarządza finansami spółki, Szeluto (wtedy jako Apolinary Scheluta) swoje utwory musiał wydawać za własne pieniądze w Lipsku.

Coraz bardziej oddalał się od tego środowiska. W 1906 r. rozpoczął studia pianistyczne u Leopolda Godowskiego, a po ich ukończeniu objął posadę profesora fortepianu w Konserwatorium im. Mozarta w Berlinie. Z dawnymi kolegami ze spółki zerwał stosunki. – To była katastrofalna w skutkach decyzja – ocenia muzykolog Łukasz Kaczmarek, autor rozprawy doktorskiej „Twórczość Apolinarego Szeluty w kontekście muzyki europejskiej pierwszej połowy XX wieku” oraz książki „Apolinary Szeluto (1884–1966) – ten, który wyprzedził Szymanowskiego”. – Odłączył się od spółki akurat wtedy, kiedy była ona na szczycie. Spalił mosty, zszedł na boczny tor. Sam pozbawił się kontaktu z bardzo wpływowym środowiskiem i szukał własnej drogi – mówi Kaczmarek.

W 1910 r. zniechęcony Szeluto postanowił opuścić Berlin, wrócić do Cesarstwa Rosyjskiego i postawić na karierę prawniczą.

Sprawa obszarnika Bukrajewa

Przerwane w Warszawie studia prawnicze dokończył na uniwersytecie w Dorpacie. Potem zdecydował się na pracę w rosyjskim sądownictwie, co zapewniało komfort finansowy. Było to ważne, bo założył rodzinę – ożenił się z pochodzącą z ziemiaństwa Wiktorią Niezabitowską. W 1912 r. urodził im się syn Jerzy, a dwa lata później drugi – Michał.

W tym okresie Apolinary używał nazwiska Nikołajewicz Wieriołkin-Szeluto. Tak podał w swoim adresie zwrotnym w liście do Ludomira Różyckiego, pisanym z Kazania w maju 1913 r. „Zapewne nawet nie wiedziałeś, że zgodnie z zatwierdzeniem Senatu w szlachectwie ja mam podwójne, rosyjskie nazwisko” – tłumaczył Różyckiemu.

W latach 1914–1918 był sędzią śledczym przy Sądzie Okręgowym w Astrachaniu. „Jest to denerwująca praca, odpowiedzialna i uciążliwa, ciągle trzeba mieć do czynienia z morderstwami, przestępcami i zabitymi – trupami” – żalił się w liście do Adolfa Chybińskiego. A gdy wybuchła rewolucja październikowa, Szeluto został... jej aktywnym uczestnikiem. „Za to, że posadziłem do więzienia rosyjskiego obszarnika – milionera Bukrajewa za zabójstwo robotnika Kałmyka – po wybuchu rewolucji zostałem przez miejscową ludność w Remontnem, astrachańskiej guberni, wybrany prezesem rewolucyjnego komitetu, aresztowałem policję i carskich urzędników” – pisał w zyciorysie w 1951 r.

Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę wrócił z rodziną do Warszawy. Już w odrodzonej II Rzeczypospolitej został naczelnikiem wydziału statystycznego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Mieszkał w Kolonii Kościuszki na Burakowie. Podejmował starania o wystawienie swoich dzieł (szczególnie opery „Kalina”, którą zaczął pisać jeszcze w Rosji). Bezskutecznie. „Zwalczany byłem przez zorganizowaną klikę ▷

Od lewej: Apolinary Szeluto, Karol Szymanowski, książę Władysław Lubomirski, Grzegorz Fitelberg i Ludomir Różycki



FOT. NAC

satelitów muzyki eksperymentalnej Szymanowskiego, doznałem tylko szereg intryg” – żalił się kompozytor w życiorysie z 1946 r.

Wciąż był jednak aktywny muzycznie. Jego utwory dość często grano w Polskim Radiu, czasem nawet przy fortepianie w radiowym studiu siadał sam kompozytor. Koncertował też jako pianista, występował z dorocznymi recitalami. Cały dochód z koncertu w 1925 r. przeznaczył na budowę pomnika na grobie prof. Zygmunta Noskowskiego (zmarłego w 1909 r.) na Cmentarzu Powązkowskim. „Do tej pory złożone ofiary wynoszą 6066 zł. 79 gr. (w tym największe sumy z wydziału Oświaty i Kultury Magistratu m.st. Warszawy: 1310 zł 91 gr. i od pana Apolinarego Szeluty z koncertu kompozytorskiego łącznie z ofiarą 493 zł 93 gr.)” – donosiły „Wiadomości Muzyczne”.

Bolesnym przeżyciem i upokorzeniem musiała być dla Apolinarego Szeluty 25. rocznica powstania grupy Młoda Polska w muzyce. 6 maja 1931 r. w Teatrze Wielkim odbył się uroczysty koncert z tej okazji. W obecności prezydenta Ignacego Mościckiego, ministrów, przedstawicieli korpusu dyplomatycznego i śmietanki towarzyskiej stolicy orkiestra pod batutą Grzegorza Fitelberga wykonała utwory Różyckiego i Szymanowskiego. Bohaterom uroczystości wręczono odznaczenia. Szeluty nawet nie zaproszono.

W 1933 r. dobiegła końca kariera Apolinarego Szeluty w Ministerstwie Sprawiedliwości. „Rząd sanacyjny przeniósł mnie na emeryturę i zamiast wypłaty emerytury mianował mnie notariuszem w Słupcy” – pisał Szeluto w życiorysie z 1951 r.

Skrzynka czerwonych mandarynek

Pobyt w małym mieście w Wielkopolsce był dla rodziny sielanką. Wybudowali okazałą willę w modernistycznym stylu. – Wiedli tu spokojne i szczęśliwe życie. Zaliczali się do ścisłej elity – mówi Beata Czerniak, dyrektor Muzeum Regionalnego w Słupcy, które gromadzi pamiątki po kompozytorze.

Szeluto nawiązał kontakty ze światem muzycznym Poznania, m. in. z Feliksem Nowowiejskim. Bywał u Nowowiejskich w Poznaniu, a oni u niego w Słupcy. Nowowiejski poprowadził wykonanie poematu symfonicznego Szeluty „Cyrano de Bergerac” w styczniu 1938 r., za co autor w dowód wdzięczności przesłał mu skrzynkę czerwonych mandarynek. Z kolei w październiku 1938 r. w poznańskim Teatrze Wielkim Szeluto wystąpił w roli solisty, wykonując swój Koncert fortepianowy H-dur z towarzyszeniem orkiestry pod dyktando Kazimierza Wiłkomirskiego. „Przyznam się, że gdy zobaczyłem wchodzącego na estradę pana Szelutę, cisnęło się przez usta pytanie: To on, naprawdę on? Gdy wysłuchałem poematu «Cyrano», zdziwiłem się jeszcze bardziej... Sądząc po «Cyranie», twórczość jego zasługuje w pełni na to, by się nią zajęto” – pi-

Karol Szymanowski był za „sztuką dla sztuki”, bez względu na odbiorców. Apolinary Szeluto chciał tworzyć „dla najszerzych warstw społeczeństwa”

sał w „Dzienniku Poznańskim” kompozytor Tadeusz Kassern.

Na koncertach w Poznaniu była obecna Helena Andrzejewska, żona sekretarza kancelarii notarialnej, w której Szeluto pracował. W książce muzykolożki Krystyny Winowicz „Apolinary Szeluto 1884–1966, w setną rocznicę urodzin” Andrzejewska wspominała, że Szeluto „przyjmowany był bardzo owacyjnie”.

A potem wybuchła II wojna światowa. Już 17 września zginął młodszy syn Szeluty, Michał. W obawie przed nacierającymi z zachodu wojskami niemieckimi próbował się przedostać ze Słupcy do Warszawy. Wędrował pieszo i poniósł śmierć w okolicach wsi Śleszyn pod Kutnem, trafiony odłamkiem pocisku.

Drugi syn, Jerzy, nauczyciel języka polskiego w warszawskim Liceum Górskiego, jako podporucznik rezerwy został zmobilizowany. Rodzina dowiedziała się, że trafił do sowieckiej niewoli, lecz nie zdawała sobie sprawy, co to dokładnie oznaczało. Jeszcze w 1946 r. kompozytor pisał, że jego syn „trafił do niewoli do obozu w Starobielsku i nie ma wiadomości od niego”. A w 1951 r., że Jerzy „dotychczas nie powrócił do Polski”. Do końca życia Apolinary Szeluto wierzył, że Jerzy żyje gdzieś w Rosji. Pisał w tej sprawie listy do władz w Warszawie i Moskwie. Bez skutku.

W 1940 r. w domu Szelutów zamieszkał nazistowski dygnitarz. Kompozytor trafił do obozu przejściowego w Łodzi, a potem został wywieziony na Lubelszczyznę, skąd uciekł i przedostał się do Warszawy, do swojego mieszkanka w Kolonii Kościuszki na Burakowie. Miał propozycję zarobkowych występów w kawiarni, ale z niej nie skorzystał, bo nie chciał mieć nic wspólnego z okupantami. Utrzymywał się z handlu pieczywem. „Żona po nocach wypiekała zdobne bułki, a ja sprzedawałem na Żoliborzu do cukierni pieczywo, ciastka i kajmaki” – wspominał w 1946 r.

Otarł się o śmierć. Podczas oblawy na przedmieściu został schwytany przez Niemców i miał zostać rozstrzelany wraz z żoną i trzema innymi osobami. Jak wspominał w 1951 r., uratował siebie i innych dzięki kompozytorskiej legitymacji i niemieckiej kenkarcie, a także dzięki temu, że był dawnym profesorem w berlińskim Mozart-Konservatorium.

Po wybuchu Powstania Warszawskiego kompozytor po raz drugi w czasie tej wojny został wyrzucony przez Niemców z domu. Kolonia Kościuszki spłonęła. Szeluto tułał się po podwarszawskich wioskach. W końcu dotarł do Skierniewic, gdzie żył przez kilka miesięcy, podobnie jak w Warszawie utrzymując się z handlu wypiekami. Po wyparciu Niemców przez wojska sowieckie wrócił do Słupcy.

Herbert komunikuje uprzejmie

Na początku lat 50. pięcioletni wówczas Marek Goszczko był na majowym spacerze z innymi dziećmi ze słupeckiego przedszkola siostr sercanek. W miejskim parku zobaczył tajemniczego dziadka z brodą, workiem i dużym, dla maluchów groźnie wyglądającym, białym psem. – Siostra Serafina uspokoiła nas, że nie ma powodów do obaw, bo to tylko pan Szeluto ze swoim Ciapkciem – wspomina 77-letni dziś Marek Goszczko. Napisał o tym zdarzeniu opowiadanie „Szyszkowy dziadek”. Szyszkowy, bo Szeluto wtedy zbierał szyszki i chrust na opał.

Po powrocie z wojennej tułaczki jako prawnik pracował bowiem tylko przez dwa lata. Potem odesłano go na emeryturę. Żona Wiktoria, wciąż zrozpaczona śmiercią młodszego syna i brakiem wiedzy o losach starszego, zmarła w 1947 r. Dawny przyjaciel Szymanowskiego, profesor berlińskiego konserwatorium, ministerialny urzędnik po wojnie żył w ubóstwie. Tak wielkim, że gdy zaproszono go z jakiejś okazji do Ministerstwa Kultury, nie pojechał, bo nie miał na buty. W sklepach prosił o jakieś „resztki dla pieska”. – A i tak wszyscy wiedzieliśmy, że to nie tylko dla pieska – mówi Goszczko.

Szeluto był w coraz gorszej kondycji psychicznej. Podpytywał ludzi, czy przypadkiem nie słyszeli o wykonaniach jego utworów w radiu czy na zagranicznych estradach i scenach operowych. Pisał listy do warszawskich decydentów, dopytując o adresy zagranicznych oper oraz filharmonii. „Związek Kompozytorów Polskich komunikuje uprzejmie, że nie posiada księgi adresowej zagranicznych teatrów operowych” – odpisał mu kiedyś Zbigniew Herbert, wtedy dyrektor biura zarządu głównego ZKP.

Innym razem zdesperowany kompozytor poprosił o próbki tekstów literackich dla dzieci i młodzieży, bo przymierzał się do pisanie utworów dla młodych słuchaczy. „Przesyłamy dwa numery tygodnika «Świerszczyk» oraz jeden numer «Płomyka»” – odpisano mu z ZKP. Gdy poprosił o papier nutowy, wysłano mu 100 arkuszy i poinformowano: „Należność zł. 90 prosimy przekazać pocztowym przekazem na adres Biura ZKP. Kalkę maszynową przesyłamy bezpłatnie”.

Szeluto potrzebował dużo papieru nutowego, bo dużo pisał. Po wojnie usiłował zaistnieć, całkowicie podając się estetyce socrealizmu. Pisał utwory wychwalające wielkie budowy, robotniczy trud, osiągnięcia socjalizmu. W operze „Łącznościowcy” Jurij

Gagarin miał śpiewać tenorem. Najpierw sam, a potem w duecie z innym radzieckim kosmonautą, Hermanem Titowem – barytonem. Ta twórczość sprawiła, że Szelutę uznano za budzącego litość grafomana.

Bolesław Błaszczyk, muzykolog, wiolonczelista Grupy MoCARTA i autor książki „Apolinarny Szeluty światy niepoznane”, stawia tezę, że Szeluto... wszystkich nabral. – Według mnie te jego powojenne opery wskazują na to, że stał się kpiarzem i mistrzem ironii – mówi Błaszczyk. – To jest tak potwornie przerysowane, że to nie żaden socrealizm, tylko co najwyżej socrealizm magiczny. On wiedział, że nikt nie potraktuje poważnie tak absurdalnych utworów – dodaje.

Faktycznie, w powojennych operach Szeluty aż roi się od absurdów i tropów wskazujących na świadomą parodię. W jednej z oper bohaterowie przemieszczają się między Moskwą a Paryżem „rakietyowym pociskiem”. Do innej Szeluto wplótł wątek erotycznego napięcia między pracownicą biura zarządu samopomocy obywatelskiej a racjonalizatorem z wytwórni pałapek na myszy. W jeszcze innej opisał los polskich twórców przebywających na emigracji w kapitalistycznej Francji. Wśród bohaterów są kompozytor zmuszony pracować jako kominiarz (tenor) oraz pochodzący z Krakowa malarz portrecista, który zarabia na życie jako pasztecikarz (baryton). Dość podejrzane, jak na socrealistyczne wymogi, wydają się też nazwiska bohaterów: Jeronim Kiszka, Hipolit Gryzoń, Kajetan Hulajnoga. – Jest w tym wyraźna kpina. On świadomie drwił z socrealizmu – przekonuje Błaszczyk. – Mam nadzieję, że coś z tego da się wystawić, bo w tym jest potężna dawka humoru. Szeluto powinien zostać pokazany światu – mówi Błaszczyk.

Mosiężna tabliczka na ul. Długiej

Apolinary Szeluto zmarł 21 sierpnia 1966 r. w domu pomocy społecznej w Chodzieży, w którym spędził ostatnie tygodnie życia. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Słupcy. Zachowane rękopisy trafiły do Biblioteki Narodowej i do Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

W PRL nie wydano żadnych płyt z jego muzyką. Dopiero w XXI w. ukazały się dwa monograficzne krążki kompaktowe z utworami Szeluty, wydano też antologię, na które trafiły jego pojedyncze kompozycje. Archiwum Polskiego Radia dysponuje nagraniami 23 utworów. Niektóre z nich z rzadka goszczą na antenie.

We wrześniu 2002 r. w Katedrze Półowej Wojska Polskiego przy ul. Długiej w Warszawie, zaledwie 100 m od gmachu, w którym kiedyś Apolinary Szeluto pracował jako urzędnik, poświęcono kaplicę katyńską. Na jej ścianach umieszczono mosiężne tabliczki z nazwiskami polskich oficerów zamordowanych w 1940 r. przez NKWD. Na jednej z nich widnieje nazwisko podporucznika Jerzego Szeluty. ©



Łukasz

Wilkowicz

Płace rosną, siła nabywcza w górę

Dane o płacach w lipcu okazały się lepsze od oczekiwań analityków. Średnie wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw było o 6,8 proc. wyższe niż rok wcześniej. Ekonomisci spodziewali się wzrostu o nieco powyżej 5 proc. Po uwzględnieniu inflacji wzrost płac w lipcu wyniósł 3,6 proc. Średnio w pierwszych siedmiu miesiącach 2026 r. średnia płaca w firmach zatrudniających co najmniej 10 osób wynosiła 9366,10 zł. Była o 5,9 proc. wyższa niż rok wcześniej. Są branże, w których wzrost płac przekracza 7 proc. W ogonie znalazły się górnictwo oraz pozostała działalność usługowa. Im wyższy wzrost płac, tym lepsze perspektywy popytu, ale też większa presja inflacyjna. ©P

Średnia płaca w okresie I-VII 2026 r.	Roczna zmiana (proc.)	Płaca (zł)
Działalność profesjonalna, naukowa i techniczna	7,8	12 842,95
Dostawa wody, gospodarowanie ściekami i odpadami	7,5	8412,73
Obsługa rynku nieruchomości	7,3	9410,09
Informacja i komunikacja	6,7	15 775,06
Energetyka	6,6	13 533,39
Roľnictwo, łeśnictwo	6,2	11 133,44
Budownictwo	6,1	8917,51
Przetwórstwo przemysłowe	6,0	8872,78
Handel; naprawa pojazdów	6,0	8578,14
Transport i gospodarka magazynowa	5,5	8986,95
Zakwaterowanie i gastronomia	5,3	6852,56
Górnictwo i wydobywanie	2,4	13 396,52
Pozostała działalność usługowa	1,8	6960,39

Źródło: GUS

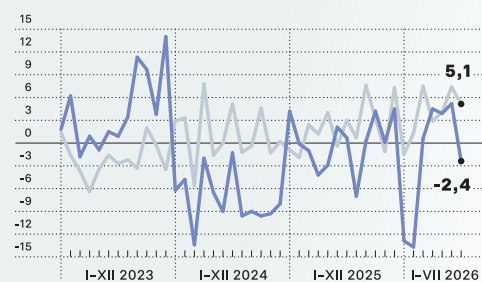
LR ©P

Przemysł mocny, słabe budownictwo

Produkcja sprzedana przemysłu w lipcu wypadła lepiej od prognoz. Sprzedaż w przemyśle była realnie o 5,1 proc. wyższa niż rok temu. Dobrze zaprezentowały się branże mocno nastawione na eksport, jak produkcja pozostałego sprzętu

Roczna zmiana (proc.)

- Produkcja budowlano-montażowa (dane krótkookresowe)
- Produkcja sprzedana przemysłu



Źródło: GUS

LR ©P

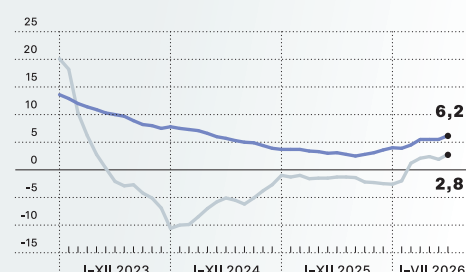
tu transportowego (łodzi, pociągi, przyczepy), komputerów i urządzeń elektronicznych oraz maszyn i urządzeń. W budownictwie był spadek o 2,4 proc., chociaż spodziewano się kilkuprocentowego wzrostu. Ów słaby wynik jest zapewne przejściowy, bo jeszcze przez kilka miesięcy ten sektor będą wspierać pieniądze z KPO, ale wskazuje, że z dynamiką inwestycji w III kw. może być problem. ©P

Wraca inflacja producencka

Wyniki produkcji podawane są w ujęciu realnym lub po odjęciu wpływu zmian cen. A co się dzieje z cenami w przemyśle i w budownictwie? W pierwszym z tych sektorów po skoku związanym z surowcami drożącymi po

Roczna zmiana cen (proc.)

- Budownictwo
- Przemysł



Źródło: GUS

LR ©P

wybuchu wojny w Ukrainie nastąpiło uspokojenie i przez ponad dwa lata ceny nawet spadały. Sytuacja zmieniła się w tym roku. Z miesiąca na miesiąc inflacja producencka przyspiesza. W lipcu była najwyższa od maja 2023 r. Przyspieszenie ma również miejsce w budownictwie. Tu odnotowany w lipcu wzrost o 6,2 proc. w skali roku był najwyższy od maja 2024 r.

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

Jawność wynagrodzeń w praktyce



Jawność wynagrodzeń, raportowanie luki płacowej i zupełnie nowe zasady rekrutacji to wyzwania, z którymi zmierzy się każda organizacja. Czy Twoja firma jest na to gotowa? Odpowiedzi znajdziesz w najnowszej publikacji Dziennika Gazety Prawnej

- Wdrożenie dyrektywy unijnej i nowe obowiązki dla firm
- Transparentność płacowa w rekrutacji i zakaz pytania o historię zarobków
- Procedura wartościowania pracy a kryterium neutralności płciowej
- Raportowanie luki płacowej i mechanizmy kontroli limitu 5%
- Uprawnienia informacyjne pracowników a ochrona danych osobowych (RODO)
- Audyt organizacji i dostosowanie struktur płacowych do nowych przepisów

Kup na sklep.infor.pl



FOT. WOJTEK GORSKI

Co z tym AI? Tak naprawdę to nie wiadomo

Rafał Woś

Czy sztuczna inteligencja zwiększy nierówności społeczne? Czy je zmniejszy? Rzadko jakieś zjawisko z tak wielką łatwością podciągnąć można – przy odrobinie fantazji i retorycznej zręczności – pod jeden albo pod drugi scenariusz.

Bo spójrzmy wpraw na argumenty AI-sceptyków. Pierwszy jest oczywiście taki, że sztuczna inteligencja pozbawi olbrzymie rzesze ludzi szans na zarabianie pieniędzy. To tym bardziej palący problem, że w przeciwieństwie do poprzednich wielkich fal automatyzacji tym razem ofiary będą też – a może nawet przede wszystkim – wśród elit, ludzi z wyższym wykształceniem. I co z sobą zrobią w tym nowym świecie rzesze absolwentów, którym studia miały dawać bilet wstępu do życia w dobrobycie?

A to dopiero początek trosk. Kolejną jest koncentracja rynku. Wszędzie tam, gdzie sztuczna inteligencja już dziś jest monetizowana, widać, że zyski trafiają do wąskiego grona największych firm technologicznych, które dzięki rozmiarowi posiadły zdolność do hiperskalowania procesu. I to się nie zmieni. Przeciwnie. Będzie raczej narastać, wzmacniając Google'a, Amazona albo Nvidię. To zaś będzie sprawiało, że szczęśliwcy pracujący dla tych gigantów albo wokół nich orbitujący faktycznie zyskają na rozwoju AI. Ale pozostali będą od tego sukcesu oddzieleni i do nich trafią jedynie okruszki z pańskiego stołu. Jeżeli w ogóle coś trafi.

Rozchmurzcie się! Skąd ta ponura mina? – powiadają na to AI-entuzjaści. Wśród ich argumentów najważniejszy jest ten o niesamowitym wzroście produktywności gospodarek, które popłyną na fali rozwoju sztucznej inteligencji. W bardziej drapieżnej wersji tego samego argumentu zastosowanie nowych technologii jest nie tyle szansą, ile koniecznością. Kto wejdzie w ten nurt, tego

on poniesie. Ale w sumie na jedno wychodzi. I tu, i tam wzrost produktywności jest właśnie tą manną z nieba, którą AI światu przyniesie. Jeśli tylko świat pozwoli się w ten sposób uszczęśliwić. Bo tak samo jak wynalazek druku zrewolucjonizował i zdemokratyzował wiedzę, a rozwój internetu uspołeczniał dostęp do informacji, tak samo ma być teraz z AI.

Najlepsze więc dopiero przed nami – mówią zwolennicy AI. Dzięki sztucznej inteligencji każdy będzie mógł robić z łatwością rzeczy, które dotąd wydawały się niemożliwe (np. przeczesywać przebogate bazy danych), a na dodatek robić to bardzo szybko. Na bazie tych nowych zdolności otworzą się przed nami nowe możliwości, zawody i zajęcia. Praca nie zniknie – bardzo możliwe nawet, że będzie jej więcej i będzie ona mniej bezsensowna (bo bezsensowne zadania robić będą za nas algorytmy).

Tak się te argumenty mniej więcej rozkładają. Przytaczam je za niedawnym (z lipca) wystąpieniem Michaela Barra – członka zarządu Fedu. Barr wygłosił te mądrości na trzeciej dorocznej konferencji „Next Gen Financial Inclusion” poświęconej inkluzji, wkluczeniu (modne słowo będące przeciwieństwem wykluczenia) ekonomicznemu. Piszę o tych argumentach nie dlatego, że są odkrywcze. Założę się, że wszystkie te wyjaśnienia już słyszeliście. Rzecz w tym, że w temacie AI nawet ci na samej górze są jak dzieci we mgle. I oni też nie wiedzą, co z tego wszystkiego wyniknie. Albo będzie łało, albo będzie grzało – powiadał pewien profesor socjologii pytany o dalszy rozwój wypadków w jakiejś bardziej nieoczywistej kwestii. Bo w temacie AI jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu.

©

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Nierówności rosną bardziej niż proporcjonalnie

Wyobrażenia dystopijnej przyszłości, w której kilka osób ma całość światowych zasobów, wcale nie muszą już być traktowane jako przejaw radykalnego pesymizmu

Dysproporcje występują w niezliczonych obszarach życia, a choć na ich genezę i narastanie decydujący wpływ mają indywidualne charakterystyki, statystycy od lat poszukują tłumaczącej je ogólnej teorii. Takiej, która opisywałaby, jak np. dwa miasta założone w podobnym czasie i w podobnych okolicznościach po stu latach różnią się rozmiarem i populacją o rzędy wielkości.

W ten sposób narodziło się w latach 30. XX w. prawo Gibrata. Opisuje ono sytuację, w której stopa wzrostu jest niezależna od rozmiaru jednostki. Wzrost jest wówczas zwielokrotniany: w czasie, w którym miasto liczące 1 tys. mieszkańców rozwinie się do 2 tys., populacja miasta milionowego wzrośnie o kolejny milion. Kluczowej roli nabierają tu czynniki losowe, chwilowo różnicujące stopę wzrostu. Nawet minimalnie wyższy wzrost pewnej jednostki w danym okresie wprowadza różnicę, która będzie narastać wykładniczo.

Prawo Gibrata zaskakująco dobrze może być wykorzystane w innych dziedzinach, np. do badania genezy nierówności majątkowych. Zyskuje ono wówczas interpretację klasycznie konkurencyjno-kapitalistyczną: na wolnym rynku wszyscy mają dostęp do tej samej stopy zwrotu z inwestycji, różnice wynikają zaś z charakterystyk takich jak wypadki losowe, indywidualna nieroztropność czy zwyczajne szczęście. Uwaga

ekonomistów powinna się wówczas skupić na tym, jak łagodzić propagowanie owego losowego procesu przez pokolenia.

Ekonomiści Xavier Gabaix (Uniwersytet Harvarda), Jean-Michel Lasry (Uniwersytet Paris-Dauphine), Pierre-Louis Lions (Kolegium Francuskie) i Benjamin Moll (Uniwersytet Princeton) obalają jednak tę hipotezę. Pokazują, że struktura wzrostu nierówności w ostatnich latach nie daje się wytłumaczyć proporcjonalnym wzrostem Gibrata. Najbogatsi mają bowiem dostęp do systematycznie wyższej stopy zwrotu, co sprawia, że najwyższe kwantyle rozkładu majątków „odjeżdżają” reszcie szybciej, niż wynikałoby to jedynie z wyższego poziomu wyjściowego. Oznacza to, że patrzenie na rynki kapitałowe przez pryzmat najczęściej wykorzystywanego przez ekonomistów modelu doskonałej konkurencji może prowadzić do utraty istotnej, a nawet i kluczowej części obrazu – istniejącego intuicyjnie u większości z nas wrażenia, że duży może więcej.

Taka wizja rozwoju nierówności powinna zwielokrotnić niepokój, z jakim myślimy o ogromnych dysproporcjach między biednymi a bogatymi. Prowadzi bowiem nieuchronnie do prognozowania nierówności eksplodujących. Ekonomiści, lubujący się w kategorii stanów ustalonych (stanów gospodarki w modelu, do których powraca ona samoistnie

po wytrąceniu przez szoki), mogą być zmuszeni przyznać, że wzrost nierówności nie ma naturalnej granicy. Wyobrażenia dystopijnej przyszłości, w której kilka osób kontroluje całość światowych zasobów, wcale nie muszą być już traktowane jako przejaw radykalnego pesymizmu.

Nietrudno dojść do wniosku, że w obliczu tej wiedzy jeszcze większego znaczenia nabiera systemowe przeciwdziałanie narastaniu nierówności. Niestety, tu wieści zdają się jeszcze gorsze. Praca Joachima Hubmiera (Uniwersytet Pensylwanii), Pera Krusella (Uniwersytet Sztokholmski) i Anthony'ego Smitha (Uniwersytet Yale) wskazuje, że czynnikami mającym największy wpływ na wzrost nierówności majątkowych w USA w ostatnich 40 latach było wycofywanie się z progresji podatkowej. Co gorsza, ich model prognozuje, że nawet pozostawiając obecny system podatkowy, udział w globalnym majątku jednego promila najbogatszych wzrośnie dwukrotnie i osiągnie niemal 40 proc. W analogii do terminologii nauk klimatycznych można więc zapytać, kiedy osiągniemy punkt krytyczny, od którego demokratyczne społeczeństwa utracą kontrolę nad samonapędzającymi się nierównościami? Albo, co gorsza, czy aby już go nie przekroczyliśmy? ©

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Prawda o nierównościach w Polsce”

Łukasz

Krzempek

Autor jest ekonomistą GRAPE